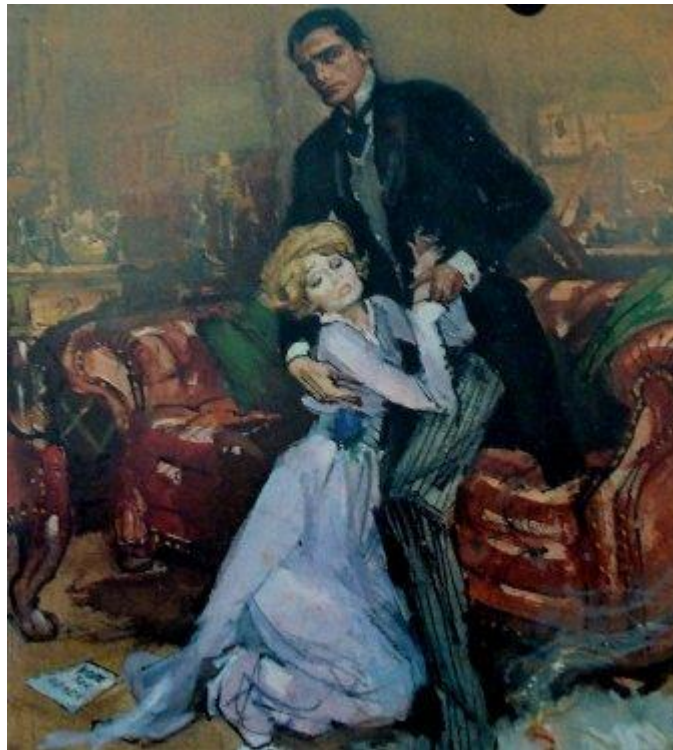


# Barbara Cartland

## Wybierz miłość

Vote for Love



## Rozdział 1

ROK 1907

Nie spodziewałem się, że skończymy tak szybko.

- Ja też nie. Decyzja premiera o głosowaniu całą partią z pewnością zaskoczyła opozycję, a mnie uwolniła od obowiązku przemawiania.

Odgłos kroków dwóch członków parlamentu odbijał się echem po całym Westminster Hall. (Westminster Hall - wzniesiony w XI w. przez stulecia miejsce zebrań politycznych, a zarazem siedziba sądu (przyp. red.).)

- Lyle, jak zwykle ci się udało - zauważył z uśmiechem starszy mężczyzna. - Jesteś dzieckiem szczęścia, a przynajmniej taką cieszysz się reputacją.

Rzeczywiście, wielmożny Rayburn Lyle, ku swemu szczeremu niezadowoleniu, znany był powszechnie jako Lyle - Szczęściarz.

- Gdy ktoś tak o mnie mówi, czuję się jak drobny oszust albo pośledni sztukmistrz powtarzał. Niezaprzeczalnie jednak zasługiwał na opinię wybrańca losu. Był przystojny, bogaty i pochodził ze starej arystokratycznej rodziny. Dzięki błyskotliwej inteligencji, zanim ukończył trzydzieści cztery lata został już podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Gdy przed rokiem władzę objął rząd liberałów, a premier, sir Henry Campbell - Bannerman, mianował Lyle'a na stanowisko, wedle powszechnej opinii słusznie się młodemu politykowi należące. Oczywiście nie zabrakło i takich, którzy uważali, że Rayburn Lyle zbyt szybko wspina się po stopniach kariery.

Być może Lyle - Szczęściarz budziłby jeszcze większą zawiść, gdyby nie jego poczucie humoru, pozwalające mu ująć nawet przeciwników. Umiał śmiać się z samego siebie, ale też było w nim coś, co nie dopuszczało do spoufalania się. Za to uśmiech Lyle'a porywał nieodpartym urokiem.

- Czy podwieźć cię? - młody człowiek zwrócił się do swego rozmówcy. Wyszli właśnie na dziedziniec, nad którym górowała wieża z Big Benem. Placyk zastawiony był powozami i samochodami, należącymi do członków parlamentu. W ostatnich latach ten środek lokomocji zdobywał w Londynie coraz większą popularność.

- Nie, dziękuję - odpowiedział starszy mężczyzna. - Mam tu swój powóz. Jadę do The Reform Club.

- A ja do domu - pożegnał go Rayburn Lyle.

Automobil z cichym szumem silnika zatrzymał się w pobliżu miejsca, gdzie przystanęli. Strażnik w mundurze Izby Gmin otworzył drzwiczki.

Rayburn Lyle wygodnie oparł się o poduszki siedzenia i odetchnął z ulgą. Nie miał ochoty występować podczas dzisiejszej debaty. Minister spraw zagranicznych, sir Edward Grey, nalegał, by młody polityk przedstawił jedynie poglądy partii. Tymczasem Lyle nie w pełni podzielał stanowisko reprezentowanego przez siebie ugrupowania, toteż z ulgą przyjął niespodziewane zwolnienie z obowiązku mówcy.

Automobil ruszył. Nagle Lyle usłyszał okrzyki i nawoływania. Wyjrzał przez okienko. Tak jak przypuszczał, przed wrotami św. Stefana odbywała się demonstracja. Kobiety żądały praw wyborczych. W tym roku manifestacje sufrażystek (sufrażystki - wojowniczkini o prawa kobiet (przyp. red.)) stawały się coraz bardziej agresywne. Przed budynkiem Izby Gmin młody człowiek ujrzał znajomy widok: transparenty, ulotki, afisze i chorągwie. Wszędzie widniały hasła - PRAWO GŁOSU DLA KOBIET i GŁOSUJCIE PRZECIWIW RZĄDOWI LIBERAŁÓW.

Nie było tajemnicą, co obecny gabinet sądzi na temat tych żądań.

Sir Herbert Asquith, kanclerz skarbu, publicznie wyraził potępienie dla ideałów i dążeń ruchu sufrażystek.

Rayburn Lyle nie był aż tak stanowczy. Kobiety, z którymi się stykał, bardziej niż problemami prawa wyborczego interesowały się nim, młodym, zamożnym kawalerem, wokół którego wciąż kręciły się swatki i matki córek na wydaniu. Lecz młodziutkie dziewczęta nudziły Lyle'a. Wolał kobiety dojrzałe, uwodzicielskie, inteligentne i fascynujące, w czym podzielał gusta nie byle czyje, bo samego króla ( W 1907 r. Wielką Brytanią rządził Edward VII (1841 - 1910) (przyp. red.).).

Ostatnio Rayburn Lyle nawiązał romans z lady Davenport.

Eloise Davenport uchodziła za jedną z najpiękniejszych pań swojej epoki. Uważali tak nie tylko bywalcy salonów, ale i prasa. Błyszczące, ciemne oczy, wspaniałe czarne włosy, kształtna pierś i cieniutka talia sprawiły, iż wizerunkiem ślicznej damy zaczęto nawet zdobić kartki pocztowe. Podobną popularnością cieszyły się też inne, jak je nazywano, „zawodowe piękności”. Hrabina Dudley, lady Randolph Churchill, pani Cornwallis West konkurowały ze słynnymi z urody aktorkami Musical - Comedy - Camille Clifford, jedną z The Gibson Girls oraz Gertie Miller i Gabrielle Ray.

To właśnie o Eloise Davenport rozmyślał Rayburn Lyle, gdy automobil wiozł go przez Parliament Square w kierunku Queen Anne's Gate. Dom przy Queen Anne's był dla młodego polityka szczególnie wygodny ze względu na bliskość budynków Parlamentu.

Nie było jeszcze ósmej, ale ponieważ nie oczekiwano jego wcześniejszego powrotu, Rayburn nie mógł liczyć na obiad w domu. Zdecydował więc, że przebierze się tylko i uda do klubu. Od tak dawna Lyle nie miał już wolnego wieczoru, że teraz, zastanawiając się jak najprzyjemniej spędzić czas, poczuł się wręcz zagubiony.

- Pojadę do St. James - zdecydował wreszcie, przypomniawszy sobie, że do tego właśnie klubu umawiało się

dzisiaj dwóch jego najlepszych przyjaciół. - Kuchnię mają świetną, a po obiedzie możemy zagrać w karty albo w bilard.

Co prawda, hazard go nie pociągał, ale trzeba było jakoś spędzić ów niespodziewanie zyskany wieczór.

Auto zatrzymało się na Queen Anne's Gate. Rayburn Lyle wyciągnął z kieszeni klucze. Służący nie spodziewali się jeszcze jego powrotu, musiałyby więc zbyt długo czekać, aż ktoś usłyszy dzwonek.

- Za pół godziny jadę do St. James Club - oznajmił szoferowi.

- Tak jest, sir.

Rayburn Lyle wszedł po schodkach i otworzył drzwi. Tak jak się spodziewał, w domu panowała cisza i zdawało się, że nie ma w nim żywego ducha. Młody człowiek rzucił kapelusz na stolik w holu i skierował się prosto do gabinetu. Pod pachą ścisnął teczkę wypchaną dokumentami, które zamierzał przejrzeć jeszcze przed wyjściem na obiad. - Najpierw muszę się czegoś napić - pomyślał. Suchość w gardle męczyła go zwykle podczas posiedzeń parlamentu. Czasami zastanawiał się, czy to atmosfera Izby Gmin tak na niego działa.

- Przyrządzę drinka, a potem zadzwonię na kamerdynera - zdecydował.

Otworzył drzwi do gabinetu i zastygł w progu ze zdumienia.

Na dywaniku przed kominkiem, osłaniając twarz dłońmi, klęczała młoda kobieta, a obok niej leżał przedmiot, w którym Rayburn Lyle ze zgrozą rozpoznał bombę.

Lont zaczął syczeć i iskrzyć. Skulona postać uniosła głowę i rozejrzała się, jakby wyczuwając czyjaś obecność. Powoli zaczęła podnosić się z kolan. Lyle zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia. Rzuciwszy teczkę na podłogę, podbiegł do kobiety, pociągnął ją za oparcie kanapy i osłonił własnym ciałem.

Bomba wciąż syczała złowieszczo. Z miejsca, w którym leżeli nie było jej widać, lecz Rayburn wiedział, że powinna wybuchnąć w ciągu kilku najbliższych sekund.

Co zrobić, by uchronić nieznajomą przed skutkami wybuchu, myślał gorączkowo. W tym momencie próba zmiany miejsca byłaby aktem wyjątkowej głupoty. Wszystko, co mu pozostało to pochylić głowę jeszcze niżej i mieć nadzieję, że odłamki nie zabiją ani nie poranią żadnego z nich obydwójga. Jednak czas mijał i nic się nie działo. Kobieta leżała bezwładnie twarzą do podłogi i ciężko oddychała.

Musiła zgubić gdzieś kapelusz. Pewnie spadł, gdy Rayburn włókł ją sprzed kominka. Dopiero teraz Lyle zauważył jasnobrązowe kosmyki wijące się na delikatnym karku. Wpatrując się w nie, czekał na moment wybuchu, kiedy wszystko w pokoju zostanie roztrzaskane, a sufit runie ofiarom na głowy. Nasłuchiwał.

Panowała zdumiewająca cisza. Syczenie ustało. Wreszcie zdołał wydusić:

- Kiedy to miało wybuchnąć?

Poczuł, że ciałem dziewczyny wstrząsa dreszcz i pomyślał, że pewnie przestraszyła się jego głosu.

- Waśnie teraz... - szepnęła z wahaniem.

- A dlaczego, u diabła, klęczała pani koło bomby?

Kobieta milczała. Lyle ostrożnie wyjrzał zza oparcia kanapy. Bomba leżała na dywanie, jak gdyby nigdy nic, a w miejscu lontu ciągnęła się smużka popiołu.

- Proszę się stamtąd nie ruszać! - rozkazał Rayburn.

Wstał i ze wzrokiem utkwionym w groźny przedmiot ostrożnie ruszył w stronę stołu, na którym stała taca z napojami. Spośród karafek i kieliszków wydobył spory dzbanek wypełniony jasnożółtym płynem. Powoli zbliżył się do kominka i chlusnął na bombę strumieniem lemoniady.

- Teraz może pani wyjść. Już jest bezpiecznie - oznajmił szorstkim głosem.

Przez chwilę był przekonany, że nie usłyszała. Wreszcie zza oparcia kanapy wyłoniła się drobna postać. Na ślicznej twarzy malowało się przerażenie. Dziewczyna miała bardzo delikatne rysy, ale w tej chwili uwagę zwracały przede wszystkim ogromne, zaleźnione oczy o zaskakująco fiołkowym odcieniu. Gdy odezwała się głosem drżącym od powstrzymywanego płaczu, wydała się Rayburnowi niemal dzieckiem.

- Przepraszam...

- Za co? Za to, że zamach się nie udał? - uśmiechnął się z nie ukrywaną ironią.

- Przepraszam za to całe zamieszanie - oświadczyła niezbyt logicznie.

- Zamieszanie byłoby o wiele większe, gdyby bomba jednak wybuchła. A pani zapewne by zginęła.

W jej oczach ujrzał błysk i nagle wszystko zrozumiał.

- Zamierzała pani umrzeć. To dlatego klęczała pani koło bomby.

Dziewczyna nadal milczała, więc powtórzył ostro:

- Proszę powiedzieć mi prawdę. Chciała pani popełnić samobójstwo?

- T... tak...

Lyle ledwie dosłyszał odpowiedź, ale nie miał wątpliwości, że była twierdząca.

- Dobry Boże! - krzyknął. - Czy kobieca głupota nie ma granic?!

Popatrzył na dziewczynę ze złością.

- Czy naprawdę jest pani aż taką idiotką, żeby sądzić, że niszcząc mój dom i przy okazji zabijając siebie, chociaż o krok przybliży pani zwycięstwo waszej sprawy?

Wybuch jego gniewu unicestwił resztki opanowania dziewczyny. Rozpłakała się i znów powtórzyła:

- Bardzo przepraszam... Bardzo... Rayburn Lyle popatrzył na nią z uwagą. -

Cóż, lepiej będzie jeśli wezwę policję - oświadczył. - Tego, jak się domyślam, pani pragnie. Stać się męczennicą w taki, czy inny sposób.

- Proszę pana... Ja nie mogę iść do więzienia...

W błagalnej prośbie brzmiał prawdziwy strach. Lyle odwrócił się.

- Przecież to część planu. Odmówi pani zapłacenia grzywny, więc skazą panią na więzienie. Tam urządzi pani głódówkę i w całej prasie pojawią się artykuły o okrucieństwie niehumanitarnego rządu.

- Nie mogę iść do więzienia... Nie mogę! Dlatego właśnie... chciałam zginąć? - szlochała nieznajoma. Spojrzała na bombę i machnęła żałośnie ręką.

- Jestem beznadziejna. Nie potrafię nawet umrzeć...

Rayburn Lyle poczuł się zaintrygowany.

- Może zechce mi pani dokładnie wytłumaczyć, o co tu naprawdę chodzi - rzekł zmienionym głosem.

Wielkie oczy dziewczyny znów napełniły się łzami, a usta drżały konwulsyjnie. Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak ślicznego, a zarazem tak zdesperowanego, pomyślał. Ona wydaje się zupełnie inna niż panny spotykane na zebraniach towarzyskich. Jest w niej coś niewinnego, jakaś wrażliwość i uduchowanie. Podobnych cech już od dłuższego czasu Lyle nie dostrzegł u żadnej kobiety. Zaczął więc innym tonem:

- Niech pani usiądzie i opowie mi wszystko po kolei. Myślę, że obydwójgu nam dobrze zrobi kieliszek czegoś mocniejszego.

Podszedł do stołu i nie pytając nieznajomej o zdanie, otworzył butelkę szampana. Dopiero teraz zdał sobie sprawę,



jak bardzo jego wysuszone gardło potrzebuje ożywczego napoju. Podał dziewczynie kieliszek.

- Proszę usiąść - polecił. - Proponuję, aby zechciała się pani przedstawić.

Nieznajoma zawahała się, wyraźnie walcząc z pragnieniem zachowania anonimowości. Dopiero po chwili, spuściwszy oczy odpowiedziała:

- Nazywam się... Viola Brandon.

- Brandon? - powtórzył Rayburn Lyle. - Więc jest pani zapewne krewną lady Brandon, jednej z przywódczyń waszego ruchu.

- To moja macocha.

- Znałem pani ojca i nie mogę uwierzyć, aby życzył sobie, by jego córka wyczyniała takie niesłychane rzeczy.

- Ojciec nie zniósłby tego.

Rayburn Lyle nie spodziewał się podobnej odpowiedzi, choć była ona całkowicie zgodna z prawdą.

Przed laty sir Richard Brandon cieszył się szczególnym szacunkiem jako ulubiony szambelan królowej Wiktorii. Oczywiście, że byłby przerażony, gdyby wiedział, iż jego córka zostanie sufrażystką, jedną z tych rozwrzeszczanych kobiet, zachowujących się ekstrawagancko, byle tylko przyciągnąć uwagę opinii publicznej.

- Skoro pani wie, że ojciec nie zaaprobowałby pani czynów, dlaczego podjęła się pani takiego zadania? - zapytał młody człowiek poważnym tonem.

- Próbowałam odmówić - szlochała Viola - ale macocha nie chciała mnie słuchać... Ona jest... fanatyczką.

Rayburn Lyle wiedział, że to prawda. Przyłączywszy się do pań Pankhurst i Pethick - Lawrence (Emmeline Pankhurst (1858 - 1928) - słynna przywódczyni angielskiego ruchu feministycznego, organizatorka Women's Social and Political Union (1903); kilkakrotnie aresztowana i więziona za swoją

działalność. Emmeline Pethick - Lawrence (1867 - 1954) - przywódczyni sufrażystek, żona popierającego ruch feministyczny polityka, sir Fryderyka Lawrence'a (przyp. red.), lady Brandon nieustannie przemawiała, jeżdżąc po całym kraju. Chwytała się każdego sposobu, aby informacje o niej i jej towarzyszkach z ruchu kobiecego nie schodziły z pierwszych stron gazet.

- Czy chce pani powiedzieć, że macocha zmusza panią do takiej działalności wbrew pani woli?

Viola zaczerpnęła tchu i otarła kolejną łzę.

- Jestem... tchórzem - zaczęła mówić po chwili. - Boję się więzienia... Nie tak jak inne kobiety... Strasznie się boję... że... karmiono by mnie przemocą!

Rayburn Lyle usłyszał w jej głosie nie udawany strach i dostrzegł drzenie zaciśniętych palców.

- Przecież macocha nie może pani do niczego zmusić...

Przerwał nagle, wstrząśnięty przerażeniem malującym się w oczach Violi. Tak zaleknionego wyrazu twarzy Lyle nie widział nigdy u żadnej kobiety, więc słowa, które zamierzał wypowiedzieć, zamarły mu na ustach.

- To śmieszne - wykrztusił w końcu. - Jeśli opierała się pani, to w jaki sposób macocha mogła wywierać na panią presję?

- Biciem - szepnęła Viola niemal bez tchu.

Rayburn popatrzył na dziewczynę bezbrzeżnie zdumiony. Chyba się przesłyszał. Fakt, że młoda kobieta mogła być traktowana brutalnie nie zaskoczył go. Ojcowie częstokroć wymierzali karę chłosty synom, nawykłym zresztą do różgi w szkole. W podobny sposób odnoszono się również do krnąbrnych córek. Zdziwiło go jednak, że lady Brandon, osoba z towarzystwa, mogła uderzyć kogoś równie delikatnego jak jej pasierbica.

Odkąd podrosłam nie biła mnie często - pospiesznie dodała Viola. - To się zdarzało dawniej, w początkach małżeństwa z moim ojcem. - Myślę, że po prostu nie czuła się z nim tak szczęśliwa jak się uprzednio spodziewała.

Lyle docenił przenikliwość tej uwagi. Sir Richard ożenił się po raz drugi jako człowiek już leciwy, podczas gdy lady Brandon była wówczas jeszcze stosunkowo młodą kobietą. Rayburn Lyle przypomniawszy sobie wysoką damę o agresywnym sposobie bycia. Nic dziwnego, że osobę tego typu irytowała tak drobna, kruchością przywodząca na myśl kwiat, dziewczyna, na której łatwo było wyładowywać złość.

- Rozumiem, że boi się pani macochy - powiedział głośno - ale jest pewna dysproporcja pomiędzy strachem przed karą a chęcią pozbawienia się życia!

- Już panu powiedziałam, jestem tchórzem - odparła Viola smutno.

Upiła nieco szampana i odstawiła kieliszek na stolik przy sofie.

- Czy nadal zamierza pan powiadomić policję? - zapytała z wyraźną obawą.

- Gdybym to zrobił, czułbym się jak łajdak. W oczach dziewczyny Rayburn ujrzał błysk światła.

- Dziękuję - powiedziała. Będę jednak musiała przyznać się macosze, że bomba nie wybuchła... Lady Brandon nie daruje mi tego.

- A dlaczego miałyby panią za to obwiniać? - zainteresował się Lyle.

- Przetawiałam zapalnik zegarowy. Viola zerknęła na rozmówcę spod długich rzęs i ciągnęła:

- One spodziewały się, że zostanie pan w Izbie Gmin aż do północy. Tak było zapowiedziane, więc nastawiły mechanizm na przewidywaną godzinę pana powrotu. A mnie

kazano ukryć bombę tak, aby pan jej w pierwszej chwili nie zauważył.

- A propos, jak się pani tutaj dostała?

- Jedna z przyjaciółek macochy pomogła mi przejść przez ogrodzenie do ogrodu na tyłach domu. Pokazała mi też w jaki sposób otworzyć okno scyzorykiem. Kiedy już znalazłam się w środku, zatrzasnęłam je za sobą...

Spojrzała w stronę okna.

- Nie miałem pojęcia, że tak łatwo się tutaj dostać - stwierdził gospodarz ponuro. - Każę założyć lepsze zamki.

- Myślę, że powinien pan tak zrobić - zgodziła się Viola z powagą. - Nie było trudno przedostać się przez ogrodzenie.

- Więc polecono pani ukryć bombę?

- Tak. Później miałam wymknąć się frontowymi drzwiami, żeby nikt mnie nie zauważył. Ale byłam pewna, że jeśli nawet uda mi się tym razem, one zmuszą mnie do udziału w następnym zamachu i dlatego postanowiłam umrzeć.

- Nie pojmuję, jak mogła pani w ogóle rozważać równie okropne wyjście z sytuacji - oburzył się Rayburn Lyle. - Jest pani młoda. Całe życie przed panią. Jak można tak tchórzliwie uciekać od odpowiedzialności za swoje życie.

Viola westchnęła boleśnie.

- Ojciec pewnie wstydziłby się za mnie, ale chyba jednak zrozumiałby moją decyzję.

- I ja rozumiem. Co nie zmienia faktu, że musi pani zdobyć się na odwagę, by przeciwstawić się macosze. Czy są jacyś krewni, u których mogłaby pani zamieszkać?

- Nie sądzę. Zresztą ona nie pozwoli mi odejść - szepnęła dziewczyna. - Ona uważa mnie za pewien... atut.

- Dlaczego?

- Bo jestem córką mojego ojca. Macocha miała zamiar publicznie ogłosić, że to ja podłożyłam bombę w pana domu. Wówczas aresztowano by mnie...

Ostatnie słowa zabrzmiały ledwo dosłyszalnie. Lyle'a nie dziwił jej strach przed więzieniem. Kobiety aktywnie walczące o swoje prawa ryzykowały wiele. Prasa niejednokrotnie publikowała reportaże z przesłuchań i procesów, opisywała metody karmienia siłą i inne akty przemocy wobec oskarżonych sufrażystek. Były to wiadomości wstrząsające dla każdej kobiety, a co dopiero dla dziewczyny tak wrażliwej jak Viola.

- Musimy wymyślić jakieś przekonujące wytłumaczenie - powiedział Lyle. - Wytłumaczenie, które obroni panią przed zarzutem sabotowania zamachu i nie ściągnie represji na pani głowę.

Viola wlepiła w mężczyznę pełne nadziei spojrzenie, a on po chwili podjął przerwany wątek.

- Myślę, że najlepiej będzie udawać, że umieściła pani bombę zgodnie ze wskazówkami macochy, a potem wyszła nie zauważona przez nikogo. Nie pojawią się żadne publiczne doniesienia o zamachu na moją osobę, więc lady Brandon dojdzie zapewne do wniosku, że bomba została odkryta i unieszkodliwiona.

- Czy macocha mi uwierzy?

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałaby panią podejrzewać.

- Och, dziękuję!

W głosie Violi nie zabrzmiała ani jedna fałszywa nuta, a słabe kolory powróciły na policzki.

- Ale proszę uważać - dodał Lyle - żeby nie zaplątać się w taką historię po raz drugi.

- Cóż mogę na to wszystko poradzić? Macocha zdecydowała, że mam popierać Sprawę i choć uważa mnie za beznadziejną i bezwartościową, sądzi, iż przydam się ze względu na sławę mego ojca.

Viola zamilkła, a po chwili dodała: - Lepiej byłoby, gdyby pozwolił mi pan umrzeć. Czekając na wybuch, nie czułam się nawet w połowie tak wystraszona jak teraz, kiedy myślę o tym, co się ze mną stanie po powrocie do domu.

- Może nie będzie, aż tak źle.

Lyle powiedział to automatycznie, ale słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy zorientował się, że zostaną zrozumiane jakby umywał ręce od całej sprawy.

Wrodzona delikatność kazała Violi natychmiast zareagować.

- Przepraszam, że tak długo pana zatrzymuję. Zapewne spieszy się pan na obiad. Proszę mi wybaczyć... I dziękuję za pańską dobroć.

Schyliła się po leżący na podłodze kapelusz. Rayburnowi przyszło na myśl, że to raczej nieodpowiednie nakrycie głowy dla nikczemnego zamachowca. Kapelusz o szerokim rondzie, ozdobiony wianuszkami białych różyczek, pasował raczej do dziewczynki niż do dorosłej kobiety i Viola wyglądała w nim jeszcze młodziej. Kosztowna suknia podkreślała smukłą figurę i cieniutką talię, która z pewnością nie zawdzięczała niczego gorsetowi. Kiedy stała tak gotowa do wyjścia, przywiodła Rayburnowi na myśl gazelę lub młodą sarnę pasącą się pod dębami jego wiejskiej posiadłości.

Viola wyciągnęła rękę. Ściskając jej dłoń, poczuł chłód szczupłych palców.

- W jaki sposób zamierza pani dostać się do domu?

- Poszukam dorożki. Na pewno znajdę jakąś na Parliament Square.

Lyle zmarszczył brwi. Wydało mu się niepojęte, że lady Brandon pozwalała młodej ślicznej dziewczynie wyjść na ulicę bez przyzwoitki i to o tak późnej porze.

Starsze spośród emancypantek mogły uważać się za kobiety wolne od wszelkich konwenansów, ale Viola była całkiem niezdolna do zaopiekowania się samą sobą.

- Pojedzie pani moim automobilem - oświadczył kategorycznym tonem Lyle. - Gdzie pani mieszka?

- Przy Curzon Street, ale doprawdy nie musi mnie pan odwozić. Dam sobie radę sama.

- Odeślę panią do domu - powtórzył stanowczo.

- To bardzo miło z pana strony, ale prosiłabym, aby szofer zatrzymał się nieco dalej od domu. Macocha nie może dowiedzieć się, że pana poznałam.

- Tak, oczywiście, to rozsądne. Proszę tylko obiecać mi jedno...

Nadal trzymał ją za rękę, a Viola nie uczyniła najmniejszego ruchu, by ją cofnąć.

- Co mam obiecać? - zapytała.

W jej oczach znów błysnęła obawa, stały się niemal ciemnofioletowe jakby dopasowując się do imienia. Rzeczywiście dziewczyna przypominała fiołek: delikatna i nieśmiała, pragnąca skryć się pod opiekuńczymi skrzydłami w obawie przed brutalnością świata.

- Proszę mi obiecać - powtórzył nalegająco - że nigdy już nie będzie pani próbowała odebrać sobie życia.

Przez moment zawahała się. Wreszcie, jakby zmuszając się do odpowiedzi, szepnęła:

- Obiecuję!

- Musi pani przeciwstawić się macosze, nawet jeśli brutalnie panią potraktuje. Lepsze to niż więzienie.

- Tak... Wiem - zgodziła się Viola - ale kiedy ona mnie terroryzuje, mówi, że jestem głupia i... tchórzliwa, wówczas czuję, że muszę się zgodzić na wszystko, czego ode mnie chce.

Spuściła głowę i dodała cichutko:

- Boję się bólu. Wiem, że powinnam być odważniejsza, ale... nie potrafię.

- Musi pani spróbować - rzekł Rayburn Lyle stanowczo. - Jednak, niezależnie od wszystkiego, musi mi pani to obiecać. Chcę być pewny, że dotrzyma pani słowa.

- Dotrzymam - szepnęła. Wyszli do hallu.

- Był pan taki... uprzejmy. Trudno mi wyrazić wdzięczność, ale nigdy panu tego nie zapomnę.

Uśmiechnął się do dziewczyny. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Fiołkowe tęczy wydały mu się jeszcze większe niż przed chwilą. Jednak moment bliskości przeminął. Lyle otworzył przed Violą drzwi. Skierowali się ku czekającej na podjeździe limuzynie.

- Zawieszysz tę panią na Curzon Street - polecił szoferowi. - Potem wrócisz po mnie.

- Tak, proszę pana.

Viola zręcznie wsunęła się do auta. Spod rąbka spódnicy mignęły tylko małe pantofelki i koronkowy obrąbek halki.

Drzwiczki zatrzasnęły się i limuzyna ruszyła. Lyle zawrócił do domu. Przyszło mu na myśl, że nigdy nie przeżył dziwniejszego spotkania z kobietą.

Gdy znalazł się na powrót w gabinecie, osunął się na fotel, wpatrzony w bałagan przed kominkiem.

Czy mógł przewidzieć, spiesząc z Izby Gmin, jakie emocje czekają go dzisiejszego wieczoru? Tak czy siak, najpierw trzeba posprzątać. Zadzwoił na służbę. W przyszłości nie wolno dopuścić, aby ktokolwiek mógł tak łatwo dostać się do domu.

Automobil zatrzymał się u wylotu Curzon Street. Viola wysiadła i ruszyła dalej pieszo. Starła się iść jak najprędzej.

Schody u drzwi wejściowych zdobiła połączona poręcz kutej balustrady.



Dzięki pieniądzom obecnej lady Brandon mogli utrzymywać znacznie większą i bardziej okazałą rezydencję niż za życia matki Violi.

Dziewczyna często zastanawiała się, czy problemy finansowe nie były jednym z rzeczywistych powodów skłaniających ojca do ponownego ożenku.

Wiedziała, co prawda, że pomysł małżeństwa wyszedł od kobiety nazywającej się wówczas Mavis Selby. To ona, od momentu gdy się poznali, pragnęła poślubić sir Richarda, którego uległość w tej sprawie wynikała chyba raczej ze słabości niż z żądzy. Być może też stary Brandon obawiał się, iż samodzielnie nie podoła wychowaniu jedenastoletniej córeczki i poświęcił się dla Violi. Ale odkąd macocha wkroczyła w jej życie, dziewczynka poczuła się naprawdę nieszczęśliwa. Wszak od najwcześniejszego dzieciństwa miała świadomość uczucia łączącego rodziców, które i ją także obejmowało. Była to najprawdziwsza miłość, po prostu we troje należeli do siebie nawzajem. Wszystko, co mówili i wspólnie czynili wydawało się interesujące. Kiedy matka umarła, szczęście odeszło. Sir Richard nie potrafił po tym ciosie dojść do siebie. Trzy lata po śmierci matki Viola wzięła udział w pogrzebie ojca. W jej życiu została już tylko zimna, żądna władzy macocha, nienawidząca Violi od pierwszego wejrzenia.

Pasierbica reprezentowała wszystkie cechy, którymi Mavis Brandon pogardzała u swojej własnej płci: delikatność, bezbronność i pragnienie podporządkowania się osobie inteligentniejszej i silniejszej. Po śmierci matki takim oparciem stał się ojciec. Viola nie mogła zrozumieć powodu, dla którego macocha nieustannie próbowała ją buntować przeciwko decyzjom sir Richarda. Wreszcie pojęła, że wynikało to nie tylko z zazdrości, ale i z pewnej ideologii. Lady Brandon bowiem uroiła sobie, iż nie podporządkuje się

żadnemu mężczyźnie, otwarcie głosiła nienawiść do płci przeciwnej i uważała kobiety za istoty wyższego rodzaju. Jednocześnie zaś pragnęła budzić u znieważanych przez siebie mężczyzn zachwyty i pożądanie. Była już dobrze po trzydziestce, gdy spotkała sir Richarda, nic więc dziwnego, że wydał się jej ostatnią szansą na ułożenie sobie życia. Co prawda, zdarzali się mężczyźni darzący ją przelotnym zainteresowaniem, ale szybko zniechęcali się z powodu odpychającej agresywności, której nie potrafił przyćmić nawet blask bogactwa.

Nie można było jednak odmówić Mavis Selby pewnej dozy zręczności. Od kiedy została lady Brandon potrafiła umiejętnie wykorzystywać swą pozycję, wynikającą ze związków męża z dworem królewskim, gdzie Brandon cieszył się dużą popularnością. Przyjaciele, sądząc, iż młoda żona uszczęśliwia sir Richarda, próbowali dostrzec w niej różne zalety.

Lecz po śmierci ojca Viola zauważyła, jak szybko wyczerpuje się cierpliwość dawnych znajomych. Przez pewien czas niektórzy z nich zapraszali jeszcze Violę do siebie. Robili to jednak wyłącznie ze względu na pamięć jej ojca. Wyczuwała, mimo że nikt nie mówił tego wprost, że współczują jej życia z macochą.

Po przeprowadzce na Curzon Street Mola nie tęskniła już tak przejmująco za rodzicami, jak w starym domu przy Onslow Square, gdzie była niegdyś tak bardzo szczęśliwa.

Służący zawiadomił ją, że lady Brandon czeka w salonie. Viola powlokła się na górę noga za nogą. Serce trzepotało jej ze strachu, a stopy ciążyły jak ołów.

Podłużnego kształtu pokój o trzech wychodzących na ulicę oknach umeblowany był ze smakiem. Ściany zdobiło kilka wartościowych obrazów, które wniosła w posagu lady Brandon, ale tym razem Viola nawet nie rzuciła na nie okiem.

Widziała jedynie macochę. Lady Brandon rozsiadła się za biurkiem w odległym końcu pokoju. Pisała jak zwykle notę albo memorandum na kolejne spotkanie organizacji. Viola odgadła to nawet bez pytania.

Słyszając kroki, kobieta podniosła oczy na pasierbicę i obrzuciła ją chłodnym wzrokiem.

- No, więc? - zapytała ostro.

- Zostawiłam bombę tam, gdzie kazałaś...

- Doskonale! Teraz coś zjedz i kładź się spać. Kiedy w jutrzejszych gazetach pojawi się wiadomość o eksplozji, ogłoszę, że to twoje dzieło, więc spodziewaj się aresztowania.

Viola z wysiłkiem uniosła podbródek.

- Nie chcę, żeby mnie aresztowano, madre.

Lady Brandon kazała ongiś małej Violi zwracać się do siebie hiszpańskim słowem „madre”, albowiem dziecko kategorycznie odmówiło mówienia do niej „mamo” lub „matko”. I tak już pozostało.

- Nie pleć! - zirytowała się lady Brandon. - Chodzi przecież o to, żeby wiadomość o podłożeniu bomby w domu podsekretarza stanu trafiła do wiadomości publicznej.

- Sądzę, że ojcu by się to nie spodobało. Rozgłos tego rodzaju... - Viola drżała na całym ciele, lecz jej głos pozostał spokojny.

- Nie ma tutaj twojego ojca, więc bez względu na jego domniemane opinie, masz robić to, co ja ci każę.

- Nie chcę iść do więzienia! Proszę, pozwól mi zapłacić grzywnę!

Lady Brandon ze złością zacięła usta. Po chwili jednak odezwała się:

Sądzę, że to zupełnie nieprawdopodobne. W tym przypadku nie pozwolą ci wykpić się grzywną. Jeśli jednak skompromitujesz mnie przed naszymi towarzyszkami, odmawiając pójścia za ich heroicznym przykładem, obiecuję,

że zapłacisz mi za to! W jej głosie brzmiało tyle nienawiści, że Viola zbladła z przerażenia. Nie było sensu spierać się z macochą, zwłaszcza że policja nie zostanie przecież wezwana. Dziewczyna bez słowa ruszyła w stronę drzwi. Lady Brandon patrzyła za nią z nie ukrywaną odrazą.

- Jeżeli będziesz mi się przeciwstawiać, Violu, przysięgam, że pożałujesz. Dostałaś zaszczytu, podkreślam, zaszczytu, iż bierzesz udział w największej wyprawie krzyżowej kobiet w dziejach świata. Powinnaś być za to wdzięczna. Bardzo wdzięczna. Tak, tak, bardzo wdzięczna!

Viola nadal milczała, więc lady Brandon dodała gwałtownie:

- Nie gap się jak głupia. Zejdź mi z oczu. Połóż się spać. Jesteś typową, ulegającą męskim kaprysom niewolnicą. Doprowadzasz mnie do furii.

Viola знаła wszystkie te frazesy na pamięć. Lady Brandon obficie szermowała nimi podczas zgromadzeń publicznych. Starając się ignorować obelgi, dziewczyna wyszła z salonu. Nie czuła głodu, a jedynie ogromne zmęczenie. Chciała po prostu zostać sama.

W swojej sypialni zdjęła kapelusz i, rzuciwszy się na łóżko, ukryła twarz w poduszce.

- Och, tato - szepnęła - jak ja to zniosę? Nie mogę w ten sposób dalej żyć!

Przypomniała sobie obietnicę daną tego wieczoru Lyle'owi. Pamięć przywiodła wyraz jego oczu, ciepło i siłę palców.

On jest dobry, pomyślała, dobry i mądry. Dlaczegoż miałabym go nienawidzić tylko za to, że jest mężczyzną?

## Rozdział 2

Lady Brandon wkroczyła do biblioteki, dźwigając duże pudło ulotek. Upuściła je z hukiem na stół i surowo spojrzała na Violę.

Biblioteka była szczególnym miejscem, sanktuarium sir Richarda, zapelnionym książkami, z których nikt poza jego córką już nie korzystał. Stały tam kryte skórą fotele, pochodzące jeszcze z domu na Onslow Square, a także inne meble, które Viola знаła od dzieciństwa. Toteż ilekroć macocha zakłóciła jej samotny wypoczynek w bibliotece, dziewczyna odczuwała to jako pogwałcenie intymnej atmosfery właściwej temu właśnie pokojowi.

- Zupełnie nie mogę pojąć, co się stało - rzekła lady Brandon. - Christabel Pankhurst (Christabel Pankhurst (1880 - 1958) - początkowo bojowniczką o prawa kobiet, potem poświęciła się działalności religijnej (przyp. red.)) obejrzała dom Rayburna Lyle'a od frontu i od tyłu. Nie dostrzegła nawet śladu zniszczeń...

Viola przezornie milczała, wlepiwszy w macochę czujne spojrzenie.

- Domyślam się - ciągnęła lady Brandon - że odkryli bombę, zanim eksplodowała. Nawet nie umiałaś jej dobrze ukryć. Taka strata...

Viola nadal nie odpowiadała, a lady Brandon ciągnęła pogardliwie: - Mogłam się tego spodziewać! Zawsze pokpisz sprawę! Jesteś najbardziej nieudolną idiotką, z jaką kiedykolwiek miałam do czynienia!

Przesunęła w stronę dziewczyny pudło z papierami.

- Zamiast tracić czas na książki, poukładaj te ulotki w paczki po sto egzemplarzy. I postaraj się nie narobić przy tym bałaganu!

Viola posłusznie podeszła do stołu. Lady Brandon nie przestawała mówić:

- Jesteśmy obie zaproszone na jour fixe (Jour fixe - przyjęcie w stały dzień tygodnia, przeznaczony na podejmowanie gości (przyp. red.)) markizy Roehampton. Zamierzałam udać się tam sama, ale gdyby tak szczęśliwym przypadkiem aresztowano cię u niej... och, to byłaby prawdziwa sensacja!

- Myślę, że raczej... kłopotliwa dla gospodyni - powiedziała Viola bardzo cicho.

- Zakłopotanie to ja czuję, kiedy popełniasz najgłupsze błędy i partaczysz najprostsze zadania. Pani Pankhurst teraz na pewno zwątpi w twoje oddanie i entuzjazm!

- Może byłoby lepiej, gdybym nie brała udziału już w żadnej akcji? - zaproponowała pełnym nadziei głosem Viola. - Mogę, oczywiście, czasem coś napisać albo roznosić ulotki...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy dostrzegła wyraz twarzy macochy.

- Wyjaśniałam ci już dziesiątki razy, na czym polegać ma twój wkład w walkę o postęp. Wszyscy nadal pamiętają sir Richarda, więc jako jego córka stanowisz określoną wartość dla naszego ruchu.

- Wydaje mi się, że nie powinno się wykorzystywać w taki sposób pamięci o zasługach zmarłego - zaproponowała cicho Viola.

Ale macocha nie słuchała. Wyszła z biblioteki, trzaskając drzwiami. Viola odetchnęła z ulgą. Udało jej się lepiej niż przewidywała. Lady Brandon nawet nie podejrzewała przyczyny, dla której bomba nie wybuchła. Dziewczyna poczuła ulgę. Opryskliwość i niechęć macochy wydały jej się niczym w porównaniu z groźbą więzienia.

Viola szybko skończyła poleconą jej pracę i zaczęła rozmyślać o wizycie u markizy Roehampton.

Stara dama, dawna przyjaciółka Brandonów, zasłynęła jako gospodyni szczególnie interesujących przyjęć. Na jej jour

fixe'ach pisarze, muzycy, aktorzy mogli spotkać się z przedstawicielami najznacniejszych rodzin szlacheckich. Lady Roehampton zarówno z racji swej imponującej osobowości jak i z powodu wysokiej pozycji towarzyskiej mogła przez całe życie pozwalać sobie na postępowanie według własnej woli i upodobań. Nawet para królewska zaszczycała ją swą przyjaźnią.

Było publiczną tajemnicą, że król Edward uważał przyjęcia markizy za szczególnie zajmujące i nie zdarzało się, by skrytykował zebrane tam towarzystwo, mimo iż był szalenie wybredny, gdy chodziło o gości innych salonów.

Po zakończeniu lunchu w towarzystwie macochy Viola poszła do swego pokoju, by przebrać się w jedną z eleganckich sukien, kupionych na rozpoczęcie sezonu.

Prawie wszystkie stroje Violi były białe, powszechnie bowiem uważano, iż jest to kolor stosowny dla osoby młodej i niewinnej. Dopiero mężatka mogła pozwolić sobie na żywsze barwy i kosztowną biżuterię.

Przy pomocy pokojówki dziewczyna przebrała się w zdobioną haftem angielskim suknię i kapelusz o szerokim rondzie.

Spiesząc za macochą po szerokich schodach Roehampton House, u szczytu których markiza witała swych gości, Viola Brandon wyglądała bardzo ładnie i bardzo młodo.

Z dużego salonu dochodził gwar rozmów. W powietrzu unosił się intensywny zapach kwiatów cieplarnianych zmieszany z wonią egzotycznych perfum.

- Miło mi panią powitać, lady Brandon! - oświadczyła z konwencjonalną uprzejmością markiza Roehampton.

Lecz, gdy wyciągała rękę do Violi, twarz rozjaśniła się jej niekłamana serdecznością.

- Moje dziecko, cieszę się, że cię widzę! Tak bym pragnęła, aby również i twój ojciec był tu dziś z nami.

- Ja także - odparła Viola.

- Musimy później porozmawiać - dodała markiza pospiesznie, gdyż kamerdyner anonsował już kolejnego gościa.

Viola nie знаła tu prawie nikogo. Większość osób była znacznie od niej starsza, oprócz kilku pań prezentujących się blado i nieciekawie u boku energicznych, znacznie bardziej atrakcyjnych matek.

Viola dostrzegła lady Juliette Lowther, jedyną córkę słynnej z urody hrabiny de Grey. Równie wysoka jak matka, lecz w przeciwieństwie do niej chorobliwie nieśmiała, żyła na uboczu niemal zapomniana. Historia nieszczęśliwego dzieciństwa lady Juliette była powszechnie znana.

Viola nie miała matki, która otoczyłaby opieką jej towarzyski debiut. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że pod skrzydłami najbliższej osoby nie czułaby się tak zakłopotana. Była też pewna, iż matka nie nalegałaby na zamążpójście dla zdobycia majątku bądź tytułu.

Viola pamiętała z dzieciństwa opowieść o księżnej Manchester, która przymusiła swoje córki wbrew ich woli do poślubienia dziedziców tytułów i majątków.

- Księżna Manchester jest kobietą bezwzględną - mawiała lady Brandon. - Jej córki nie są zdolne do żadnych uczuć, a ona sama potrafi tylko uganiać się za towarzyskimi sukcesami...

- ... i markizem Hartington - dodał złośliwie sir Richard.

- Sza, nie przy małej - skarciła go żona. Niedawno rozeszła się wieść, że księżna po trzydziestu latach romansu zdołała doprowadzić Hartingtona na ślubny kobierzec i została księżną Devonshire. Jak nieoczekiwanie nagradzane bywały niewierność i brak małżeńskich uczuć, myślała Viola.



Dwie czy trzy starsze damy rozmawiały z nią podczas herbaty. Przedstawiono jej też debiutantkę, tak nieśmiałą, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Viola z zainteresowaniem oglądała kolekcję zabytkowych tabakierek, gdy usłyszała głos markizy Roehampton.

- Ach, tutaj jesteś drogie dziecko! Szukałam cię. Lord Croxdale pragnie zostać ci przedstawionym.

Viola pospiesznie odwróciła się. Dręczyło ją poczucie, iż jest nieuprzejma, bardziej zajmując się przedmiotami niż otaczającymi ją ludźmi.

Podeszła więc do gospodyni. Błękitne oczy starej damy spoglądały na Violę z sympatią. Obok markizy stał pan w średnim wieku. Dobrze ubrany, o władczej postawie, musiał być, jak domyśliła się Viola, kimś znacznym.

- Lord Croxdale dobrze znał twojego ojca - wyjaśniła markiza - matkę również.

- Cóż to była za piękna kobieta - odezwał się do Violi nowy znajomy.

Oczy dziewczyny rozbłysły. Zawsze przy rozmowie o matce odczuwała wzruszenie. Jednak z upływem czasu coraz mniej spotykała osób, które wspominały pierwszą lady Brandon.

Tymczasem markiza oddaliła się nagle obowiązkiem gospodyni.

- Może gdzieś usiądziemy? - zaproponował lord Croxdale. - Trudno rozmawiać w takim zgiełku.

- To prawda - przyznała Viola. - Nie sposób usłyszeć, co się mówi.

- Więc znajźmy jakieś spokojne miejsce.

Minęli drugi salon, znacznie mniej już zatłoczony, gdzie zebrali się goście markizy spragnieni ciekawej rozmowy. Jeszcze jedne drzwi i znaleźli się w niewielkim, aczkolwiek

pięknie umeblowanym, pokoju, w którym Viola domyśliła się buduaru. Było tu pusto.

Lord Croxdale zamknął drzwi i usiedli na obitej błękitnym jedwabiem sofie.

- Znał pan moją matkę? - zapytała drżącym z emocji głosem. - Proszę mi o niej opowiedzieć.

- Była, jak już wspomniałem, bardzo piękna. A pani jest do niej bardzo podobna.

Viola zarumieniała się. Swoim stwierdzeniem lord sprawił jej prawdziwą przyjemność.

- Dziękuję, miło mi to słyszeć - szepnęła.

- Zapewniam panią, że mówię to absolutnie szczerze, a ponieważ sir Richard był moim przyjacielem, mam nadzieję, że i my również się zaprzyjaźnimy.

Szczególny ton jego głosu zaintrygował Violę. Spojrzała na Croxdale'a z niemym pytaniem w oczach. Wydawał się stary i dostojny, ale mówił tak ciepło o jej matce, że odparła impulsywnie:

- I ja tego pragnę. Proszę jeszcze opowiadać mi o mamie.

- Lepiej pomówmy o pani.

Viola spojrzała na niego z zaskoczeniem. Pomyślała, że w młodości lord musiał być przystojnym mężczyzną. Teraz jednak szpeciły go głębokie zmarszczki i dziwny wyraz zepsucia w oczach. Dziewczyna instynktownie czuła, że powinna się odsunąć. Croxdale siedział nieruchomo, ale mimo to miała wrażenie, że na nią naciera.

- Gdzie pan poznał mojego ojca? - zapytała pospiesznie.

- Oczywiście w Buckingham Palace. Poza tym kiedyś twoi rodzice zatrzymali się w moim domu w Oxfordshire.

- To musiało być dawno temu.

- Z twoim ojcem spotykałem się częściej, gdy owdowiał...

Mężczyzna zawiesił głos. Przez moment trwała cisza. Wreszcie lord znów odezwał się:

- Opowiedz mi o sobie, Violu.

Użycie imienia po tak krótkiej znajomości wydało się dziewczynie niemal impertynencją. Starła się samej sobie wytłumaczyć, że może po prostu bierze ją ciągle za dziecko, jakim była, kiedy znał jej matkę i ojca.

- To nie jest specjalnie ciekawy temat - odparła wymijająco.

- Dobrze ci się mieszka z macochą?

- Tęsknię za ojcem.

Nie miała nawet pojęcia ile wyrazu miały jej oczy.

- To naturalne - rzekł lord. - Właśnie dlatego powinienem się tobą zaopiekować.

Viola wyczuła w jego słowach nutę dwuznaczności. Tymczasem Croxdale delikatnie ujął jej dłoń.

- Chcę zaproponować - powiedział - żebyś zatrzymała się na parę dni w Croxdale Park. Pod koniec tego tygodnia urządzam przyjęcie. Mam nadzieję, że będziesz dobrze się bawić. Oczywiście, zaproszenie obejmuje również twoją macochę.

- To bardzo miło z pana strony.

Nie pojmując przyczyny, Viola poczuła się wyjątkowo niezręcznie. Lord trzymał ją wciąż za rękę i gładził po dłoni.

- Jednak... myślę...

- Proponuję również - przerwał jej Croxdale - żebyśmy jutro wieczorem zjedli razem obiad, a potem zapraszam obie panie do teatru. Jestem pewien, że „Wesoła wdówka” spodoba ci się.

- Tak, z pewnością.

Viola czuła się coraz bardziej zmieszana. Próbowwała usunąć rękę, ale Croxdale uparcie ją przytrzymał.

- A więc, uzgodnione - powiedział z zadowoleniem. - Mam nadzieję, mała Violu, że będziesz dla mnie tak miła i słodka, jak tego pragnę.

Viola osłupiała. Czowała się ogromnie skrepowana z powodu intymnego tonu pobrzmiewającego w głosie mężczyzny, a przede wszystkim niestosownej bliskości jego twarzy. Croxdale patrzył przez chwilę, potem uniósł do ust dłoń dziewczyny i ucałował. Jego wargi były pożądlive i gorące. Viola żałowała, że częstując się tartinkami i lukrowanymi ciasteczkami, zdjęła rękawiczki.

- Myślę, że powinienem odprowadzić cię już do lady Brandon - powiedział Croxdale miękkim głosem - ale jeśli chodzi o mnie, to przesiedziałbym tu wieki, szepcząc różne sekrety w twoje śliczne, podobne do muszelki uszko.

Przysunął twarz jeszcze bliżej. Jego oczy miały niemal hipnotyczny wyraz. Viola w panice poderwała się z sofy.

- Jestem pewna, że macocha... zastanawia się... gdzie jestem.

- Na pewno nie denerwuje się. Wie, że ze mną jesteś bezpieczna. Jak już powiedziałem, zaopiekuję się tobą.

Viola pomyślała w panice, że jest to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Nie wdając się jednak w dalszą rozmowę, ruszyła pospiesznie do drzwi.

- Zobaczymy się jutro wieczorem! - powtórzył Croxdale - omówię to z twoją macochą. Oczywiście, jeśli akurat nie będzie zajęta przykuwaniem się łańcuchami do szyn albo organizowaniem zamachów na członków Parlamentu. W tej sytuacji znajdę ci inną przyzwoitkę.

Viola pojęła, że nie podśmiewał się dobrotliwie z lady Brandon, ale po prostu z niej szydził! Chociaż nie akceptowała metod sufrażystek, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie należy do dobrego tonu, by obca osoba tak krytycznie wyrażała się o czyjejś rodzinie. Uniosła więc dumnie podbródek i ruszyła zdecydowanym krokiem do zatłoczonego salonu.

Lady Brandon pogrążona była w rozmowie z jakimś starszym mężczyzną, wyglądającym na bogatego finansistę. Viola była pewna, że macocha właśnie próbuje wyciągnąć od niego pieniądze. Organizacja pani Pankhurst nieustannie tonęła w finansowych kłopotach. Jednym z powodów, dla których lady Brandon nadal utrzymywała regularne kontakty z dawnymi znajomymi była możliwość spotkania na przyjęciach ludzi tak bogatych, jak baron Hirsch czy sir Ernest Cassel. Czasem dawali się oni namówić na wypisanie czeku na rzecz ruchu sufrażystek.

Viola wiedziała, że macocha nie lubiła, gdy jej przeszkadzano w usidlaniu kolejnej ofiary. Rozejrzała się, poszukując znajomych twarzy i nagle, ku swemu zdumieniu, zauważyła witającego się z panią domu Rayburna Lyle'a. Obok niego stała najpiękniejsza kobieta, jaką Viola kiedykolwiek widziała. Dziewczyna pomyślała, że nikt w salonie nie może się równać z nowo przybyłą ani pod względem urody, ani elegancji.

Prawdę mówiąc, lady Davenport skłoniła Rayburna Lyle'a, by niemal wbrew własnej woli towarzyszył jej na przyjęciu markizy. Lyle nie lubił hucznych spotkań tego rodzaju i rzadko miewał na nie czas. Lecz Eloise Davenport życzyła sobie być eskortowaną przez przystojnego mężczyznę, a któż nadawałby się do tego lepiej niż Rayburn Lyle?

Tego wieczoru pragnęła wyglądać szczególnie pięknie nie tylko ze względu na kochanka, ale przede wszystkim, by wyrzeć stosowne wrażenie na bywalcach Roehampton House. Od jej paryskiej jedwabnej sukni, różowej, tonącej w morzu falban i ozdobionego kompozycją z róż i strusich piór kapelusza kobiety nie mogły oderwać oczu. Mężczyźni natomiast pożerali wzrokiem śliczną buzię, ciemne błyszczące oczy, zmysłowe usta i stwierdzali, że Rayburn Lyle jest, jak zwykle, szczęściarzem.

Viola patrzyła przejęta. Nie umknęły jej uwagi spojrzenia spod rzęs ani delikatny gest ręki, która przez moment spoczęła na ramieniu Lyle'a.

Lady Davenport, z gracją łabędzia unoszącego się na tafli jeziora, wśród szelestu jedwabnych falban i strusich piór niemal płynęła przez salon. Jej cieniutka talia, kuszące wycięcie dekoltu i szyja otoczona sześcioma sznurami ogromnych pereł zdawały się hipnotyzować wzrok zebranych. Jaka ona śliczna, myślała Viola. Lyle z pewnością musi być bardzo zakochany. Nie miała cienia złudzeń co do tego, że prawie każda kobieta z towarzystwa oddawała się flirtom i romansom, gromadząc wielbicieli niczym Indianin przywieszający skalpy do pasa.

- Jestem bardzo staroświecka, Viola przypomniała sobie fragment rozmowy rodziców - ale nie lubię tańczyć z kimkolwiek innym. Szczerze mówiąc, nawet w czasach pensjonarskich nie miałam ochoty na żadne flirty. Dopóki nie spotkałam ciebie. Wtedy ojciec roześmiał się. Viola pamiętała, jak otoczył ramieniem talię matki i przytulił ją czule.

- Czy sądzisz, że ja potrafię dostrzec jakąkolwiek inną kobietę? - zapytał.

- Czasami tak właśnie myślę i wtedy boję się - odparła cicho matka. - Piękne kobiety są jak rajskie ptaki, a ja w porównaniu z nimi czuję się szarym wróblem.

- Nie ma żadnych porównań - zaproponował stanowczo sir Richard. - Dla mnie jesteś śliczniejsza i bardziej porywająca od najbarwniejszego spośród tych ptasząt.

W głosie ojca zabrzmiała nuta, która jeszcze bardzo wówczas młodą Violę poruszyła do głębi. Taka właśnie jest miłość! Pamiętając uczucie łączące rodziców, dziewczyna wierzyła, że któregoś dnia pozna właściwego mężczyznę i zakocha się w nim, a on odpłaci jej tym samym.

To było dawno temu. Viola zmusiła się, by powrócić do rzeczywistości. Zauważyła, że kilka osób otoczyło Rayburna Lyle'a, który opowiadał coś z ożywieniem, a uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Jakież to pociągający mężczyzna, pomyślała, a na dodatek dobry. Przez moment zastanawiała się, czy nie podejść bliżej, by ją zauważył, lecz postanowiła nie narzucać mu się.

Na pewno znudziłaby go rozmowa z kimś tak nieciekawym jak ja, myślała ze smutkiem, zwłaszcza, gdy towarzyszy mu piękna, uwodzicielska lady Davenport, podobna do egzotycznego ptaka.

Viola pożałowała, że nie może poradzić się ojca. Chciałaby go zapytać o piękne kobiety, które spotykał w Buckingham Pałace, a których fotografie ona widywała tylko w gazetach.

Po matce ojciec najbardziej admirował królową (Aleksandra duńska; poślubiła Edwarda VII w 1863 r. (przyp. red.).).

- Ona odznacza się urodą, którą trudno ująć w słowa - powiedział kiedyś. Wszystkie kobiety w sali balowej przy niej bledną.

Królowa słynęła z niepunktualności, która doprowadzała króla do szaleństwa, a jej wesołość i urok przemieniały najnudniejsze nawet dworskie obowiązki w prawdziwą przyjemność.

Ciekawe, co ojciec powiedziałby o pięknej Eloise, zastanawiała się Viola, kiedy po przyjęciu wracała na Curzon Street.

Nie potrafiła zapomnieć lśniących ciemnych oczu. - Madre, czy znasz lady Davenport? - zapytała.

- Kiedyś poznałam - odparła kwaśno lady Brandon. - Męcząca, frywolna kobietka o kurzym mózdzku. Większość mężczyzn za takimi osóbkami przepada.

- Brzmi to, jakbyś jej nie lubiła - nie mogła powstrzymać się od uwagi Viola.

- Bo tak jest istotnie. Nie znoszę wszystkiego, co ona reprezentuje. Zapewniam cię, że ta lalka nie umiałaby wykonać najprostszego zadania, nawet gdyby zechciała przyłączyć się do nas.

Viola przyznała lady Brandon rację. Trudno było wyobrazić sobie lady Davenport, krzyczącą na ulicach, biorącą udział w demonstracjach i gotową cierpieć dla sprawy. Rayburn Lyle też chyba nie interesował się ruchem sufrażystek. Wątpliwe, czy będzie głosował za ustawą, która wkrótce miała stać się przedmiotem obrad Parlamentu, a na którą macocha i jej towarzyszki niecierpliwie oczekiwały. Viola sądziła też, iż Lyle zapomniał już o ich niefortunnym spotkaniu. A jeśli nawet wspominał ów wieczór, to z irytacją, gdyż bomba bez wątplenia musiała zniszczyć mu dywan. Teraz dziewczyna żałowała, że nie zdobyła się na odwagę i nie podeszła porozmawiać z Rayburnem Lyle'em.

W rzeczywistości młody człowiek cierpiał męki nudy. Eloise Davenport skłoniła go do udziału w przyjęciu, na co nie miał najmniejszej ochoty. Za późno zrozumiał, że fatalnie się zaplątał. Gotów był flirtować z zamężną kobietą, nie miał jednak zamiaru narażać się na otwarty skandal. Nie życzył sobie być obiektem plotek, które mogłyby zakłócić jego karierę. Lubił życie polityka, i wiedział doskonale, że wymaga ono nieposzlakowanej opinii. Eloise Davenport była jednak zbyt namiętna i niepohamowana, aby ich związek miał szanse pozostać nie zauważonym. Wspólne przybycie do markizy Roehampton to błąd, myślał Rayburn Lyle, błąd mogący wzniecić trudny do ugaszenia pożar plotek.

Dyskretnie więc porzucił towarzystwo Eloise, przyłączając się do grupki starszych panów, których wkrótce oczarował nigdy nie zawodzącą go elokwencją. Następnie



podszedł do markiza Londonderry, zajętego rozmową z lordem Croxdale'em. Obaj ucieszyli się na widok Lyle'a.

- Chciałbym porozmawiać z panem o sprawie Irlandii - zagadnął go markiz. - Zapraszam w przyszłym tygodniu na obiad. Proszę przyjść zaraz po zamknięciu obrad.

- Będzie mi bardzo miło - odparł Lyle.

- Ja też pragnę pana zaprosić - odezwał się lord Croxdale.

- W następny weekend wydaję przyjęcie w mojej wiejskiej rezydencji. Będę rozczarowany, jeśli pan odmówi.

- Dziękuję i powiadomię panów jutro rano - - odparł z uśmiechem Rayburn Lyle. - Nie mam przy sobie terminarza, a nie pamiętam, czy jestem wolny.

Kiedy odwoził lady Davenport na Belgrave Square, Eloisa zapytała:

- Co robisz w następny weekend? George postanowił zostać dłużej w Paryżu, więc pomyślałam, że możemy pojechać razem na wieś.

W jej głosie zabrzmiała tak oczywista aluzja, iż Lyle natychmiast zdecydował się skorzystać z zaproszenia Croxdale'a,

- Przykro mi, Eloise. Gdybyś powiedziała mi wcześniej, może jakoś bym to urządził. Niestety przyjąłem już inne zaproszenie. Sądziłem, że twój mąż wkrótce już wraca.

- Też tak myślałam, ale dzisiaj rano dostałam od niego list. George przyjedzie dopiero po dwudziestym - roześmiała się. - Dobrze się bawi w Paryżu. Pisze, że cały czas spędza na wyścigach. Jestem jednak pewna, iż kryje się za tym jakaś kobieta.

Rayburn Lyle milczał. Eloise ujęła jego dłoń. To cudowna okazja - szepnęła. - Moi znajomi byliby zachwyceni, gdybyśmy obydwój wzięli udział w ich przyjęciu.

- Przykro mi, Eloise - powtórzył poważnie Rayburn Lyle - w ten weekend to niemożliwe.

- Z pewnością - kusila dalej lady Davenport - dostalibyśmy sypialnie w tym samym skrzydle, chociaż nie obok siebie.

Rayburn już nawet nie starał się słuchać. Przygotowania do przyjęć weekendowych musiały być niezwykle absorbujące dla pań domu. Przyszło mu kiedyś do głowy, że ich organizacja bywa tak staranna, jak w przypadku ekspedycji wojskowych.

Jedzono wówczas i pito od rana do późnych godzin nocnych, a w przerwach między posiłkami gospodarze starali się dostarczyć gościom jak najwięcej rozrywek. Zimą było to polowanie, strzelanie i nowy sport zwany golfem. A wieczorami bale i obiady obliczane na co najmniej pięćdziesiąt osób. Latem rozgrywano mecze krykieta, pływano łódką, grano w tenisa i kroieta, urządzano przyjęcia w ogrodzie, a strojne suknie pań szły w zawody o lepsze z barwami i delikatnością peonii bądź róż.

- Czy wstąpisz teraz do mnie? - pytanie Eloise kazało Lyle'owi powrócić do rzeczywistości.

- Przykro mi, muszę jeszcze wstąpić do parlamentu.

- Zostaniesz tam do późna?

- Obawiam się, że tak.

- Więc może przyjdiesz jutro na herbatę?

- Mam nadzieję, że nic mi nie przeszkodzi.

- Czas będzie płynął bardzo powoli - szepnęła.

Nie mógł oprzeć się myśli, że Eloise jest najbardziej porywającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Ogień zdawał się płonąć w ciemnych oczach. Lyle wyczuwał jej nienasyconą namiętność i, mimo prób zachowania zdrowego rozsądku, już zaczynał żałować, iż nie zgodził się na wspólny weekend. Przecież zawsze mogę zmienić zdanie, pocieszał się w duchu.

- Chcę być z tobą - Eloise jakby czytała w jego myślach. Spojrzenie ciemnych oczu kusilo i obiecywało. Lyle nie potrafił już dłużej powstrzymać się. Lady Davenport znalazła się w jego ramionach.

- Lord Croxdale zaprosił nas na wieś w następny weekend - oświadczyła lady Brandon w drodze do domu. Nowoczesna w innych dziedzinach, lady Brandon nadal wolała jeździć powozem i Mola w pełni się z nią zgadzała. Automobile, chociaż modne a nawet ładne, nie dawały się nawet porównać z końmi. Matka Violi słynęła ongiś jako świetna amazonka i Viola również uwielbiała jeździć konno. Zwierzęta te znaczyły dla niej więcej niż przyjaciele, a jedną z rzeczy, za którymi najbardziej po śmierci ojca tęskniła, były przejażdżki w jego towarzystwie. Jeździli przez cały rok niezależnie od pogody. Na wsi odbywali dzikie galopady, z których powracali zmęczeni i głodni, ale w najlepszym humorze. W Londynie zaś zażywali spokojnych spacerów na modnych terenach jeździeckich.

Przejażdżka pod opieką stajennego nie sprawiała Violi przyjemności, a lady Brandon była zbyt zajęta, żeby tracić czas na rozrywki.

- Czy mam zabrać strój do konnej jazdy? - zapytała Viola.

Z nadzieją pomyślała, że w stajniach Croxdale Park znajdują się dla niej wierzchowce odpowiedniej klasy.

- Właściwie nie powinnam jechać na wieś - głośno rozważała lady Brandon - ale Croxdale bardzo nalegał na przyjazd. Przy jego majątku jest szansa na wyciągnięcie większej sumy na wielki cel.

- Ale czy wypada prosić o pieniądze, skoro będziemy jego gośćmi? - zapytała Viola. Zrobiło jej się nieprzyjemnie na myśl, że będą starały się wykorzystać dopiero co poznanego człowieka. Jednak lady Brandon nie miała skrupułów.

- Tym trudniej będzie mu odmówić - stwierdziła z przekonaniem. - Poza tym z pewnością znajdziemy tam i innych darczyńców. Ludzie majątni ciągną do siebie, jak ptaki jednego gatunku.

- Wolałabym jednak nie jechać - rzekła Viola nieśmiało.

Wspomnienie dzisiejszego wieczoru budziło niesmak i dziewczyna doszła do wniosku, że nie ma ochoty widywać lorda Croxdale'a. Oczywiście, cudownie byłoby pobyć na wsi. Londyn kojarzył się Violi z ciągłym lękiem przed policją. A mimo to... Myśli uciekały od tego, co dziewczyna wyczuwała i obawiała się ująć w słowa.

Na próżno powtarzała sobie, że niemożliwym jest, by lord żywił dla mej jakieś szczególne zainteresowanie. Jest tak stary, że mógłby być moim ojcem, myślała. Lecz instynkt ostrzegał ją przed czymś zarówno złym, jak i nieprzyjemnym.

- Pojedziemy - oświadczyła lady Brandon. - Jestem pewna, że lord Croxdale da się namówić na wystawienie czeku na przynajmniej sto funtów. Taka suma nic dla niego nie znaczy.

- Wydaje mi się, że on już wspiera bardziej... nagłace... cele charytatywne - broniła się Viola bez przekonania.

- Bardziej nagłace? A cóż jest bardziej nagłacego od konieczności uwolnienia kobiety z politycznych okowów? - zapytała ostro lady Brandon. - Czy jesteś aż tak głupia, że nie widzisz w jaki sposób jesteśmy traktowane i nie rozumiesz, że nie możemy dłużej na to pozwalać? - Przerwała na chwilę, po czym znów rozpoczęła gniewnym głosem:

- Violu, powinnaś przestać myśleć tylko o sobie. Zauważ nareszcie upodlenie kobiet różnych stanów. One patrzą na nas, ufają że wyprowadzimy je z życia pełnego poniżenia do świata wolności.

Lady Brandon deklamowała dalej z nutą fanatyzmu w głosie. Znów znalazła nowe frazesy, pomyślała Viola. Będzie

je teraz powtarzała aż do znudzenia w swoich płomiennych przemówieniach.

Powóz zatrzymał się na Curzon Street i obie kobiety wysiadły.

Kamerdyner, otwierając drzwi, zaanonsował:

- Panna Christabel Pankhurst czeka w salonie, proszę pani.

Rozpromieniona lady Brandon pospieszyła na górę. Viola ruszyła za nią, gdyż wiedziała, że macocha tego od niej oczekuje. Lubiła zresztą Christabel Pankhurst, której groźna matka przewodziła walce kobiet o uznanie ich praw politycznych. Christabel rzuciła serce i duszę w wir bitwy. Kilkakrotnie więziono ją. Zdarzało jej się też walczyć z atakującymi policjantami. Tłukła ich wówczas na odlew i pluła im w twarz. Trudno było uwierzyć, że ta urodziwa dziewczyna o okrągłej, dziecięcej buzi posiada żelazną wolę, niespożytą energię i odwagę wiodącą ją na czoło każdej demonstracji.

- Miło mi cię widzieć, Christabel! - lady Brandon wyciągnęła do niej dłonie, a potem cmoknęła pannę Pankhurst w policzek.

- Matka przysłała mnie z wiadomościami. Witaj, Violu.

- Witaj - odparła Viola.

- Myślę, że odkryłyśmy, co się stało z twoją bombą - powiedziała poważnie Christabel.

Viola gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Co odkryłyście? - zapytała nerwowo.

- Jedna z naszych zwolenniczek przyjaźni się z kucharką Rayburna Lyle'a - opowiadała Christabel. - Otrzymała więc zadanie, by dowiedzieć się, co się właściwie stało.

Viola patrzyła na gościa z niepokojem.

- I czego się dowiedziała? - zapytała lady Brandon.

- Według relacji kucharki Lyle zadzwonił około ósmej i kazał jednemu ze służących uprzątnąć jakieś żelastwo z dywanu przed kominkiem. Bomba po prostu nie wybuchła.

- Z dywanu?! - wykrzyknęła lady Brandon. Spojrzała na Violę oskarżycielsko.

- Kazałam ci ukryć bombę, ty mała idiotko! Dlaczego nie zastosowałaś się do moich instrukcji?!

W jej głosie zabrzmiało tyle okrucieństwa, że Viola nie mogła wykrztusić słowa.

- Oczywiście, straciłaś głowę - ciągnęła lady Brandon - położyłaś bombę w pierwszym lepszym miejscu, po czym uciekłaś jak przerażony królik.

- Tak, ale bomba powinna eksplodować gdziekolwiek by nie była - wtrąciła Christabel. - Tymczasem wybuch w ogóle nie nastąpił. - Christabel była wyraźnie rozjątrzona.

- To już trzecia bomba, która okazała się niesprawną! Mówiłam matce, żeby znaleźć lepszego konstruktora.

- Zgadzam się - rzekła lady Brandon. - Jednak dla zachowania Violi nie ma żadnego usprawiedliwienia.

- Och, nic nie szkodzi - rzekła z uśmiechem Christabel. - Znajdziemy dla niej lepsze zadanie innym razem.

Viola nie miała już siły tego słuchać. Odwróciła się i wybiegła z salonu. Zatrzasnęła drzwi sypialni i rzuciła się na łóżko.

Jak zwykle mam pecha, pomyślała. Oczywiście, paniom Pankhurst łatwo było odkryć, gdzie pozostawiłam bombę.

Viola wiedziała w jaką furję wpadnie teraz macocha. W konsekwencji będzie z pewnością nalegała, by Violi przydzielono grożące jeszcze większymi karami zadanie.

Viola spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Szeroko rozwarte, ciemne, przestraszone oczy, blada twarz. Nie zdawała sobie sprawy, jak ślicznie wygląda. Widziała jedynie godną pogardy dziewczynę, która nie umie nikomu się

przeciwwstawić. Poczwała łzy płynące po policzkach. Tak bardzo bała się tego, co jeszcze może się zdarzyć.

Z pewnością lady Brandon planuje teraz z Christabel akcję, która mogłaby zainteresować prasę, myślała Viola.

- Dłużej tego nie zniosę - jęknęła. - Nie mogę ryzykować, że następnym razem bomba jednak wybuchnie, a ja zostanę wtrącona do więzienia.

Zerwała się z łóżka. Otworzyła szufladę, gdzie gromadziła dotyczące sufrażystek materiały. Przerazały ją, ale wiedziała, że lepiej jest wiedzieć, w co, wbrew woli, została zaplątana.

W jednej z notatek prasowych pani Pankhurst opisywała swoje przeżycia sprzed roku.

Viola czytała:

Uznano mnie winną i skazano na grzywnę w wysokości jednego funta lub czternaście dni więzienia w trzeciej kategorii. Oczywiście, wybrałam to drugie i wkrótce dołączyłam do moich towarzyszek w celi. Zawsze musisz zakładać, że może cię spotkać wyrok więzienia trzeciej kategorii. A wygląda to następująco:

Codziennie rano, gdy jest jeszcze ciemno, budzi cię stapanie ciężkich butów i dzwonięcie. Później zapalają światło.

Myjesz się w malutkiej miednicy i pośpiesznie ubierasz. Kiedy tylko usłyszysz szcęk kluczy i łoskot żelaznych drzwi, wiesz, że za chwilę strażniczka wkroczy do twojej celi i padną słowa: „Wstawać z prycz!”

Śpieszysz się i wypełniasz kolejne rozkazy. Składasz koce, czyścisz miskę. Do sprzątanía służą ci trzy szmaty i wiadro wody. Musisz wyskrobać do białości stołek, pryczę, stół, półki i podłogę.

Zanim skończysz, znów pojawia się strażniczka. Szcęk kluczy i trzask drzwi: „Gdzie pani miska?”

Dostajesz porcję owsianki na wodzie i przepisowe sto osiemdziesiąt gramów chleba.

Szybko zjadasz śniadanie i bierzesz się do szycia, na przykład, prześcieradeł. Jak dowiadujesz się z rozkładu zajęć, masz ich obrębić piętnaście w ciągu tygodnia. To minimum.

Czy to naprawdę kryminalistki, te smutne kobiety wokół ciebie? Niektóre są bardzo młode, niespokojne i zatroskane. Zostały złamane przez biedę i zbyt ciężką pracę. Jak te kobiety mogą znieść wolno ciągnące się godziny?

Viola uważnie wpatrywała się w tekst. Czytała go już wielokrotnie i za każdym razem relacja ta wydawała się jej przerażająca. Dziewczyna bała się, że prędzej czy później ten koszmar przydarzy się również i jej.

Drżącymi palcami wyciągnęła następny wycinek, świadectwo spisane przez Mary Leigh, którą, w ramach kary za wybicie szyb w celi, skrupowano z rękoma skutymi kajdankami na plecach. Tylko w porze posiłków wiązano jej dłonie z przodu. Podjęła więc strajk głodowy.

Otoczono mnie - pisała pani Leigh - i posadzono siłą na krześle przechylonym do tyłu. W mojej celi zebrało się z dziesięć osób. Doktor zmusił mnie do otwarcia ust, a jedna ze strażniczek lala mi do gardła jakiś płyn. W sobotę po południu strażniczki zaniósły mnie na łóżko. Pojawiło się dwóch lekarzy. Wetknęli mi głęboko do nosa rurkę, do której przytwierdzony był szklany lejek, przezroczysty, żeby widać było, czy płynu ubywa. Wlewano płyn raz do jednej dziurki, raz do drugiej. Podczas tego zabiegu czułam się maltretowana fizycznie i psychicznie zarazem. Później nastąpiło osłabienie i oszołomił mnie ból w nosie i uszach. Kiedy zabrano wreszcie tę aparaturę byłam chora.

Opis obfitował w jeszcze inne koszmarnie fakty, ale Viola nie miała siły już dalej czytać. Odłożyła wycinki do szuflady i



podeszła do okna. Niewidzącym wzrokiem patrzyła na słońce oświetlające szare dachy.

- Nie mogę tego znieść! Nie mogę! - wyszeptała.

- Nagle usłyszała, że drzwi jej pokoju otwierają się. Odwróciła głowę. W progu stała macocha, a na widok wyrazu jej twarzy Violi zamarło serce.

### Rozdział 3

Rayburn Lyle spojrział na zegarek i uświadomił sobie, że prawdopodobnie spóźni się na obrady komisji w Izbie Gmin.

Wizyta na posterunku policji zdezorganizowała mu precyzyjny program zajęć. Lyle niemal nigdy się nie spóźniał i był dumny ze swej punktualności.

Dziesięć dni temu jednak spotkała go przykra przygoda. Wychodząc z gmachu parlamentu bramą świętego Stefana, młody człowiek znalazł się nagle wśród rozwścieczonego tłumu, który starał się wedrzeć do przedsionków budynku, by przekazać posłom pewną petycję.

Policjanci bezskutecznie usiłowali oczyścić przejście dla Rayburna Lyle'a. Tymczasem, gdy przedzierał się on między krzyczącymi i odgrażającymi się kobietami i mężczyznami, ktoś dobrał się do jego kieszeni. Utraty portfela Lyle specjalnie nie żałował, było tam niewiele pieniędzy. Ale szkoda mu było cygarniczki. Dostał ją od ojca, lorda Walmsleya, a on otrzymał ją z kolei od swego ojca.

Lord Walmsley przywiązywał wielką wagę do rodzinnych pamiątek, a szczególnie do pamiątek historycznych. Cygarniczkę zaś podarował jednemu z przodków Rayburna Lyle'a sam sławny książę Wellington. Lord Walmsley nie palił cygar, więc postanowił ofiarować ozdobne cacko synowi.

- Mam nadzieję, że przyda ci się, mój chłopcze - rzekł kiedyś do Rayburna - i że jej nie zgubisz. Tę cygarniczkę uważam za klejnot rodzinny. Pewnego dnia, zgodnie z tradycją, przekażesz ją twemu synowi.

Rayburn Lyle nie był namiętym palaczem, ale lubił porozkoszować się dobrym cygarem po lunchu czy obiedzie, a ponieważ wiedział, że sprawia tym ojcu przyjemność, zawsze korzystał z rodowej cygarniczki.

Właśnie dlatego tak bardzo przejął się jej utratą. Wiedział, że ojca kradzież ta ogromnie przygnębi.

Rayburn Lyle żywił dla ojca serdeczne uczucia i bardzo liczył się z jego zdaniem. Pięć lat temu lord Walmsley postanowił przenieść się do Szkocji do wspaniałego zamku nad brzegiem rzeki Spey i spędzić resztę życia na łowieniu pstrągów. Polityczne ambicje pozostawił synowi. Po długich latach pracy w Izbie Lordów i intensywnej działalności na rzecz stronnictwa liberałów stary Walmsley uznał, iż należy mu się zasłużony odpoczynek. Przekazał Rayburnowi majątek w Hampshire i znaczną fortunę, a syn obiecał sobie nigdy nie zawieść zaufania, jakim został obdarzony.

I rzeczywiście, doskonale zarządzał rodzowym majątkiem, jak również szybko wspinał się po szczeblach kariery. Gdy został mianowany podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, dostał od ojca entuzjastyczny list z gratulacjami.

Rayburn z gorzkim uśmiechem rozmyślał, jak bardzo zdenerwuje ojca wiadomość o utracie cygarniczki.

Wprawdzie poinformował policję o kradzieży, lecz nie miał większych nadziei na odzyskanie rodzinnej pamiątki. Policja przesłuchiwała londyńskich paserów, opublikowano też ogłoszenie o wysokiej nagrodzie za zwrot cennego bibelotu.

Prawdę mówiąc, Lyle był szczerze zdumiony, kiedy pewnego dnia wczesnym rankiem policjant zapukał do drzwi jego domu przy Queen Anne's Gate. Cygarniczka odpowiadająca opisowi czekała na identyfikację na posterunku dzielnicy Westminster.

Rayburn Lyle serdecznie podziękował zwiastunowi tak dobrej nowiny, błyskawicznie dokończył śniadanie i kazał szoferowi jak najszybciej zawieźć się na komisariat, co nie było łatwe w porze wzmożonego ruchu. Gdy zatrzymali się wreszcie przed ponuro wyglądającym budynkiem, Rayburn Lyle niemal biegiem wpadł do środka.

Dyżurny sierżant wskazał mu pokój komendanta, gdzie już na Lyle'a oczekiwano. Znalazła się nie tylko cygarniczka, ale i portfel, choć oczywiście, bez pieniędzy. Złodziej najwidoczniej przekonał się, że cygarniczkę obciążoną marokinem i ozdobioną złoconymi narożnikami oraz monogramem Rayburna Lyle'a trudno będzie sprzedać.

Zadowolony Lyle zapłacił wszystkie należności i wsunął cygarniczkę do kieszeni.

- Sir, to cenny przedmiot - z szacunkiem zwrócił mu uwagę policjant. - O tej porze roku Londyn pełen jest kieszonkowców, a demonstracje przed Izbą Gmin tworzą doskonałe warunki do kradzieży.

- W przyszłości będę ostrożniejszy - obiecał Rayburn Lyle z uśmiechem. - Jestem panu wyjątkowo zobowiązany, komendancie.

- Nie zawsze mamy tyle szczęścia! Zechce pan tutaj złożyć podpis.

Rayburn Lyle poświadczył odbiór znalezionych rzeczy. Następnie wyciągnął rękę i rzekł:

- Mam nadzieję, że nie przysporzę wam znowu kłopotu. Dziękuję raz jeszcze.

- Odprowadzę pana, sir - odparł oficer. Ruszyli korytarzem. Kilku policjantów prowadziło właśnie grupę kobiet do aresztu.

- Sufrażystki! - powiedział z naciskiem oficer, jeszcze zanim Lyle zdążył zadać pytanie. - Dzięki panu Curtis - Bennettowi będą uboższe o grzywnę. On, jak wiadomo, nie znosi emancypantek.

- A one na pewno pragną ponieść karę - mruknął Lyle.

- Racja - odparł oficer. - Spowodowały zamieszki na Downing Street i, ani chybi, wtargnęłyby pod dziesiątkę (Downing Street 10 - rezydencja premiera (przyp. tłum.)), gdyby moi ludzie ostro nie zareagowali.

Lyle nic nie odpowiedział. W tym momencie, na samym końcu eskortowanej przez policjantów procesji ujrzał Violę!

Widząc wyraz twarzy lady Brandon, Viola pojęła, że musi spodziewać się od macochy wszystkiego co najgorsze, i przygotowała się na fizyczny ból.

Nie myliła się. Lady Brandon podeszła do niej szybkim krokiem i z całej siły uderzyła dziewczynę w twarz. Raz z jednej strony, potem z drugiej.

- Ty mała kłamczucho! - wrzasnęła. - Powiedziałaś mi, że dobrze ukryłaś bombę.

Policzek był wyjątkowo bolesny, ale duma nie pozwoliła Violi jęknąć ani zapłakać. Dziewczyna stała wyprostowana naprzeciw macochy, twarz jej płonęła, ale oczy pozostały suche.

- Skompromitowałaś mnie przed moimi przyjaciółkami - krzyczała lady Brandon. Wstyd mi za ciebie!

Nie było wątpliwości, że lady Brandon czuła się osobiście znieważona, więc Viola szepnęła:

- Przepraszam, madre.

- Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że potrafiłam nawrócić tyle kobiet, a w stosunku do ciebie poniosłam równie podłą porażkę - spojrzała z pogardą na Violę i ciągnęła:

- Przebierz się. Zmuszę cię jeszcze, żebyś zrozumiała, że należy cierpieć dla dobra sprawy. Może nareszcie pojdziesz, co to jest bohaterstwo i walka o wolność,

- Mam się przebrać? - zapytała nieśmiało Viola. - Ale dokąd idziemy?

- Zobaczysz! Ubierz się w coś wygodnego. Chociaż tym razem będziemy widzami, nie bezpośrednimi uczestniczkami manifestacji.

Wyszła z pokoju. Violi nie pozostało nic innego, jak szybko wykonać polecenie. Przebrała się więc w bladoliliową

suknię, ozdobioną wyłącznie małym koronkowym kołnierzykiem i ciemnoniebieskim paskiem. Włożyła też liliowy kapelusz z wstążką tej samej barwy.

Dziewczyna czuła paraliżujący lęk przed miejscem, do którego miały się udać. Pocieszała się tylko myślą, że nie dojdzie do walki ulicznej. Ostatnio demonstracje sufrażystek liczyły nie więcej niż trzynaście osób. W ten sposób emancypantki usiłowały ominąć zakaz zgromadzeń w odległości mniejszej niż mila od gmachu parlamentu. Delegacja trzynastoosobowa mogła zbliżyć się do budynków rządowych, nie łamiąc jednocześnie przepisów.

Na dole macocha już czekała. Wręczyła Violi pudełko ulotek, a sama wzięła drugie.

- Bierz! - warknęła. - Myślę, że zdołasz rozdać je bez pomyłek i nie upuścisz wszystkiego do studzienki kanalizacyjnej. Bóg jeden wie, czy ty cokolwiek potrafisz zrobić dobrze!

Wsiadły do czekającego przed domem powozu.

Gdy konie ruszyły, Viola zapytała cicho:

- Dokąd jedziemy?

- Christabel mówiła mi, że wieczorem delegacja zanieśie petycję na Downing Street. Wiadomo, że premier spotyka się dziś z ministrami o osiemnastej, więc rozpoczną obrady przy akompaniamencie naszych żądań. Będziemy krzyczeć „Prawo wyborcze dla kobiet!” tak, że im w uszach zadzwoni.

- Chyba nie wolno manifestować na Downing Street? - powiedziała niepewnie Viola.

- Skoro zdecydowałyśmy, że urządzimy demonstrację, to urządzimy! - oświadczyła energicznie lady Brandon. - Zawsze na Downing Street stoi tłumek. Wszystko, co musisz zrobić, to rozdać ulotki. Rozumiesz?

- Tak, madre - odparła potulnie Viola. Viola czuła, że zbliżają się kłopoty, ale ulgę przynosiła jej świadomość, że nie

wyznaczono jej bardziej agresywnych zadań. Zajrzała do otwartego pudełka i z zakłopotaniem dostrzegła, iż ulotki wzywają do użycia każdej dostępnej metody protestu w sprawie uzyskania przez kobiety praw wyborczych. Napastliwy i obraźliwy ton apelu przeraził Violę.

Lady Brandon zatrzymała powóz na Whitehall, niedaleko od Downing Street.

- Zaczekaj tutaj - poleciła stangretowi. Przed budynkiem pod numerem dziesiątym, jak zwykle, gromadził się tłum gapiów.

Lady Brandon poprowadziła Violę na drugą stronę uliczki, aż znalazły się naprzeciw drzwi ozdobionych dziesiątką z polerowanego brązu i kołatką.

Na przeciwległym chodniku stał policjant. Inni ustawili się wzdłuż bariery oddzielającej tłum od jezdni. Bez wątpienia spodziewają się awantury, pomyślała Viola.

Właśnie jeden z ministrów wysiadał ze swego samochodu, gdy dał się słyszeć narastający zgiewk. Nie wiadomo skąd pojawiało się coraz więcej kobiet. Gorsy sukien przecinały szarfy z hasłem: „Żądamy praw wyborczych!” Wznosząc okrzyki, kobiety zatarasowały wlot uliczki, co w pierwszej chwili zupełnie zaskoczyło policjantów. Nagle jedna z manifestantek uderzyła rączką parasolki w okienko samochodu. Dwóch policjantów starało się ją obezwładnić, gdy tymczasem tłum napierał, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Wówczas inna kobieta stanęła na schodkach przed domem premiera i rzuciła w powietrze garść ulotek. Minister usiłował dostać się do budynku. Stracono mu kapelusz i otrzymał kilka szturchańców w plecy.

Grupa policjantów starała się rozpędzić uczestniczki demonstracji. Udało im się wywlec część kobiet z tłumy, co wywołało jeszcze większe zamieszanie. Pozostali zaszli

manifestantki od tyłu i po krótkiej szamotaninie sytuacja została opanowana.

Viola stała jak sparaliżowana, ściskając pudełko ulotek w rękach. Nagle poczuła silne pchniecie w plecy. Uderzenie było tak gwałtowne, że niechybnie upadłaby, gdyby nie tarasujący jej drogę rosły policjant. Dziewczyna zderzyła się z nim, a chcąc utrzymać równowagę wyciągnęła rękę. Wówczas pudełko wysunęło się jej z dłoni i dziesiątki ulotek posypały się na chodnik. Policjant chwycił Violę za ramię. W chwilę później dwóch milczących ponuro funkcjonariuszy odprowadziło pannę Brandon do grupy zatrzymanych kobiet.

Nie! Nie! Ja do nich nie należę! - zaczęła krzyczeć, ale nagle uświadomiła sobie, że rozsypane ulotki świadczą o czymś przeciwnym. Słowa zamarły na jej ustach.

Viola doskonale wiedziała, kto ją popchnął, by spowodować jej aresztowanie. Nawet nie musiała się oglądać. Świetnie potrafiła sobie wyobrazić triumf na twarzy macochy.

Aresztancka buda czekała u wylotu Downing Street. Stłoczone w jej ciasnym wnętrzu sufrażystki zaczęły śmiać się i gratulować sobie nawzajem sukcesu.

- Nie miałam pojęcia, że dostaniemy się tak blisko! - mówiła siedząca obok Violi dama. Miała kulturalny głos i bardzo ładnie wyglądała w swej eleganckiej sukni. Kobieta, która siedziała po drugiej stronie, była równie wykwintnie ubrana i najwyraźniej pochodziła z dobrego domu.

- Miesiąc temu, kiedy spotkałam premiera na jakimś proszonym obiedzie, mówiłam mu, że jeszcze zalejemy mu sadła za skórę.

Kilka kobiet roześmiało się.

- Szkoda, że nie miałam dziś okazji stłuc mu szyb w samochodzie.



- Zrobimy to prędzej czy później! Gdybyż tylko Herbert Asquith przybył pierwszy! Ten zasługuje na wszelkie możliwe ciosy!

- Wszyscy oni powinni zostać wystrzelani! - zdecydowała sąsiadka Violi. - W końcu będą zmuszeni nas wysłuchać, nawet jeśli stanie się to wbrew ich woli.

- Z pewnością byłoby to wbrew ich woli! - roześmiała się jedna z uwięzionych. - Czy jakikolwiek mężczyzna słucha kobiety, gdy ona mu nie schlebia?

- Uważam, że wszyscy mężczyźni to bestie i im wcześniej zaczną nas słuchać, tym dla nich lepiej! - wyrecytowała dziarsko jakaś blondynka, ale to brawurowe hasło zabrzmiało dziwnie żałośnie. Po chwili jedna z kobiet zwróciła się do Violi:

- Nie widziałam cię nigdy przedtem. Jak się nazywasz?

- Viola Brandon.

- Ach. Naturalnie. Jesteś pasierbicą Ma - vis. Mówiła kiedyś o tobie. Świetnie, miło nam cię powitać jako współtowarzyszkę w cierpieniu za sprawę.

Viola miała przemożną ochotę powiadomić ją, że nie ma najmniejszej chęci na cierpienie za sprawę, ale wiedziała, iż nikt jej tu nie zrozumie. I cokolwiek powie, będzie to nielojalne wobec macochy.

Sufrażystki były wyraźnie zadowolone. Viola nie mogła oprzeć się wrażeniu, że widzi psotne dzieci, które oberwały właśnie jabłka w sadzie sąsiadów lub zabawiają się sekretną ucztą o północy.

Do posterunku w Westminster nie było daleko.

Policjanci wpędzili zatrzymane do budynku, spiesząc się w obawie, by idąc powoli nie wzbudzały zainteresowania przechodniów. Viola czuła się zupełnie skostniała. Wiedziała, że naprawdę dygocze ze strachu i wstydziała się wobec

towarzyszek niedoli okazujących obojętność i całkowity spokój.

Dziewczyna przeliczyła wzrokiem ich grupkę. Z pewnością kobiet było więcej niż trzynaście.

- Jest nas tylko dwadzieścia! - jakby czytając w jej myślach, odezwała się jedna z sufrażystek. - A powinno być o wiele więcej! - dodała z niesmakiem. - W zeszłym tygodniu aresztowano pięćdziesiąt siedem manifestantek, ale wtedy organizatorką demonstracji była sama Christabel Pankhurst.

Viola milczała. Miała tylko nadzieję, że sędziowie nie okażą się zbyt surowi.

Było już późno, toteż rozprawę odłożono na następny dzień. Tymczasem zatrzymane kobiety umieszczono w celach.

Cele wyglądały ponuro, lecz były dość duże, obliczone na dziesięciu więźniów. Nie było mowy o położeniu się. Pod ścianami stały tylko twarde ławy.

Aresztantki rozsiadły się niczym na sofach lub najwygodniejszych fotelach swych luksusowych salonów.

Jedna z pań wyciągnęła miętowe cukierki i poczęstowała nimi współwięźniarki. Inna wyjęła mały flakonik perfum. Skrapiając chusteczkę, oświadczyła:

- Nie mogę wytrzymać zapachu tego miejsca.

Viola zgadzała się z nią całkowicie. Odór niedomytych ciał unosił się w stęchłym powietrzu, mieszając z wonią wilgotnych murów.

Podłoga zdawała się być dosyć czysta, ale zakratowane okno pod sufitem z trudem przepuszczało blade wieczorne światło.

Viola zwróciła się do najbliższej siedzącej damy:

- Czy zostaniemy tutaj przez całą noc?

- Oczywiście - padła odpowiedź. - Mam nadzieję, że przed wyjściem z domu zjadłaś jakiś obfitszy posiłek. Rząd Jego Królewskiej Mości nie przewiduje dla nas jedzenia ani

picia, zanim nie zostaniemy dostarczone do Holloway (Holloway - miejskie więzienie dla kobiet (przy. tłum.) - ). Ale wtedy my odmówimy poczęstunku.

Viola pomyślała o lodach i tartinkach, które zjadła w czasie przyjęcia. Trudno nazwać je przyzwoitym posiłkiem. Dziewczyna nie czuła jednak głodu. Doskwierało jej tylko pragnienie, prawdopodobnie ze strachu, a po części z braku świeżego powietrza. I tak miała szczęście, myślała, przebywając w takim miejscu pośród kobiet ze swojej sfery, a nie w towarzystwie pijanych włóczęgów bądź ulicznic.

- Skoro już tu jesteśmy - odezwała się któraś z sufrażystek - możemy narobić trochę kłopotów. Proponuję skandowanie naszych żądań, które i tak kiedyś będą musieli spełnić.

Wybuchł śmiech, a potem rozległ się chóralny krzyk:

- Prawo wyborcze dla kobiet! Precz z rządem! Prawo wyborcze dla kobiet!

Ściany celi zdawały się drżeć od zgiewku. Viola wiedziała, że może powinna dołączyć się do współtowarzyszek, lecz głos uwiązł jej w gardle. Zastanawiała się, czy tym kobietom większej przyjemności nie sprawia aby sama walka, niż osiągnięcie konkretnego rezultatu.

Wkrótce aresztantki zmęczyły się krzykiem. Zaczęły więc gawędzić, chichotać i plotkować. Krytykowały przywódczynię i ich sposób prowadzenia politycznych kampanii i mityngów. Chełpiły się swoimi planami na przyszłość.

- Mówiłam Sylvii Pankhurst (Sylvia Pankhurst (1882 - 1960) - sufrażystka, później działaczka ruchów pacyfistycznych (przyp. red.)) - im wcześniej podłożymy bombę w sali zebrań Izby Gmin, tym lepiej! - oświadczyła jedna z pań.

- Trudno tam będzie cokolwiek przemyścić - zauważyła inna. - Oni są już teraz podejrzliwi wobec luźnych płaszczy. Mówiono mi też, iż kontrolowane są damskie torebki.

- To bezczelność! - krzyknęła oburzona sąsiadka Violi. - To że mężczyźni nie noszą torebek, nie znaczy, iż jest to podejrzany element garderoby!

- Pani Pankhurst pytała nas ostatnio o pomysły - opowiadała ładna brunetka. - Mam ich doprawdy sporo i zamierzam je przedłożyć na następnym posiedzeniu zamkniętym.

- Musimy uzyskać poparcie lady Somerset - znów odezwała się sąsiadka Violi. - Ona i pani Lyttleton mogą nam zdobyć znacznie więcej rozgłosu niż potrafiłyby którakolwiek z nas.

- Cóż, dla mnie najbardziej przekonująca byłaby lady Frances Balfour - zauważyła brunetka. - Pomyślcie, gdyby takie nazwisko wiązano z naszym ruchem!

- I bez tego coraz więcej ludzi zaczyna rozumieć słuszność tego, co głosimy. To tylko kwestia czasu, a świat uzna nasze racje.

Viola pomyślała, iż to chyba przejaw nadmiernego optymizmu, ale pomruk aprobaty pozostałych kobiet zniechęcił ją do zgłaszania wątpliwości.

Czas dłużył się, więc aresztantki zaczęły śpiewać na zmianę hymny kościelne i arie z modnych musicalów. Violi przypomniał się lord Croxdale i zaproszenie na premierę „Wesołej wdówki”. Tak marzyła, by zobaczyć to przedstawienie, mimo że lord miał jej towarzyszyć.

- Jestem głupia, myślała, nie ma czego się bać. A tak czy inaczej nie będę mogła pójść z nim teraz do teatru. Prawdopodobnie, gdy moje nazwisko znajdzie się w prasie, Croxdale po prostu zerwie znajomość. Viola wiedziała, że lord jako przyjaciel króla, którego nieprzychylnie stanowisko wobec ruchu sufrażystek było powszechnie znane, nie żywi sympatii dla bojowniczek o prawa kobiet.

Myślę, że tatuś też byłby im przeciwny, dumiała smutno. Co też by powiedział, gdyby zobaczył ukochaną córkę w więzieniu? Ile czasu trzeba będzie spędzić w areszcie? Viola była pewna, że nie zobaczy premiery ani nie weźmie udziału w sobotnim przyjęciu. Ciekawe, czy macocha pojedzie do Croxdale'a, zastanawiała się. Miała jednak wrażenie, że gdyby nawet tak się stało, lord czułby się głęboko rozczarowany. Więc może dobrze się stało? Pamiętała wszak obrzydzenie i lęk, których doznała, kiedy lord zbliżył usta do jej twarzy. Zapewne przesadzam, skarciła samą siebie w duchu.

Teraz myśli Violi pobiegły do Rayburna Lyle'a. Czy zmartwiłby się słysząc o jej losie? Wiedział przecież, jak bardzo bała się nawet samej myśli o więzieniu. Lyle jest dobry i mądry. Viola nigdy nie przestanie mu być wdzięczna, że nie posłał po policję, kiedy znalazł bombę w swoim gabinecie.

Co by się stało, gdyby bomba wybuchła! Nie tylko zniszczyłaby dom, ale zraniłaby lub nawet zabiła takiego człowieka. Jak niezwykłą okazał odwagę! Inny ratowałby się ucieczką i zostawiłby Violę na pastwę losu. A pierwszą myślą Lyle'a było uratowanie bezbronnej kobiety. Powinnam jeszcze raz mu za to podziękować, pomyślała wzruszona tymi wspomnieniami. Wydało jej się, że znów czuje ciężar osłaniającego ją ciała i ogarniające irracjonalne wrażenie bezpieczeństwa. Nie zaznała wówczas wstrętu ani niesmaku. A gdy Croxdale dotknął jej ręki, miała ochotę uciekać. Na czym polega różnica między tymi dwoma mężczyznami? Viola ponownie ujrzała w wyobraźni przystojną twarz Rayburna Lyle'a, a zaraz potem wyraz oczu lady Davenport. Eloise Davenport jest wyjątkowo piękna, więc on musi ją bardzo kochać, pomyślała melancholijnie.

Noc zdawała się nie mieć końca. Raz czy dwa udało się Violi zdrzemnąć, lecz gdy tylko przychodził sen budziły ją

okrzyki: „Prawo głosu dla kobiet!” lub nagle zaintonowana pieśń.

W końcu przez okienko pod sufitem przedostało się blade światło nadchodzącego dnia. Świtało.

Aresztantki ożywiły się i rozpoczęły poranną toaletę. Pożyczały sobie grzebienie i lusterka.

W parę godzin później szcęknął klucz i w otwartych drzwiach ukazał się oddział policjantów. Jedną po drugiej, sufrażystki wyprowadzono na korytarz.

- Jeśli Curtis - Bennett będzie przewodniczył to spodziewaj się najgorszego! - usłyszała Viola od jednej z kobiet.

- Do zobaczenia w więzieniu! - żegnały się ze sobą serdecznie i odchodziły z wysoko uniesionymi głowami i buntowniczym spojrzeniem.

Są bardzo dzielne, naprawdę wspaniałe! - myślała z podziwem Viola, próbując naśladować ich dumną postawę. Lecz czuła chłód drżących palców i ciężar na sercu.

Kiedy drzwi sali rozpraw zamknęły się za aresztantkami, Rayburn Lyle zwrócił się do stojącego obok oficera.

- Chciałbym porozmawiać z młodą kobietą, która szła na końcu.

Policjant potrząsnął głową.

- Obawiam się, że to niemożliwe, sir. Ale mogę przekazać jej wiadomość od pana.

- Byłbym bardzo wdzięczny.

I Lyle, zanim opuścił posterunek, tłumaczył coś oficerowi przez chwilę.

Jak zwykle przy takich okazjach, w sali rozpraw tłoczyło się mnóstwo dziennikarzy, notujących każde słowo. Żaden szczególnie nie mógł ujść ich uwagi. Miejsca dla publiczności dziś także były wypełnione, co do ostatniego. Większość widzów przyszła w oczekiwaniu dobrej zabawy, inni by

cieszyć się widokiem pań z towarzystwa wystawionych na pośmiewisko. Nie brakło jednak i kobiet świadomych, że oskarżone starały się walczyć o wielką sprawę.

Sędzia Curtis - Bennett miał wygląd srogi i poważny.

Viola dowiedziała się, że na czele wczorajszej akcji stała sama pani Despard, sławna przywódczyni sufrażystek. Umieszczono ją w osobnej celi i zamierzała sądowi szczegółowo o tym opowiedzieć. Oznajmiła też, że walka o prawa kobiet nie skończy się, dopóki rząd nie ustąpi i nie przystanie na żądania emancypantek.

- Nie ma dla nas odwrotu - stwierdziła - i jeżeli nie otrzymamy tego, co się nam należy, wiele się jeszcze wydarzy.

Pan Curtis - Bennett upomniął ją surowo. Haniebne rozruchy uliczne muszą zostać zaniechane i im wcześniej kobiety uświadomią to sobie, tym lepiej.

- Dwadzieścia szylingów grzywny albo czternaście dni aresztu - podsumował ostro, a pani Despard odparowała dumnie:

- Będę więziona, ponieważ walczę o przynależne mi prawa.

Taki sam wybór przedstawiono następnej z sądzonych. Odpowiedź była identyczna. W tym momencie do czekającej na końcu kolejki Violi podszedł policjant. Nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Kiedy sędzia będzie ogłaszał wyrok, proszę udać zemdlenie. Pani grzywna zostanie uiszczona. Przed komisariatem czeka na panią pewien dżentelmen.

Viola spojrzała na oficera zdumiona, ale zanim zdołała go spytać o cokolwiek, ten oddalił się. W tym momencie usłyszała odpowiedź następnej kobiety:

- Wolę więzienie i przeklinam rząd za okrucieństwo!

Kolejka powoli zmniejszała się. Aresztantki, które otrzymały wyrok, odprowadzono do cel.

W końcu Viola została sama na ławie oskarżonych.

Czuła jak głośno bije jej serce. Gorączkowo myślała, co powinna zrobić. Wiedziała, czego oczekują od niej macocha i jej towarzyszki.

Jestem zbyt tchórzliwa, zresztą to nie moja wojna, powiedziała sobie w końcu. Nie była całkiem przekonana o słuszności żądań sufrażystek, a już z pewnością ich metody wydawały się Violi nie do przyjęcia. Przecież muszą istnieć jakieś inne sposoby walki o prawo, myślała rozpaczliwie.

Stała tak i nie umiała się zdecydować, czy wzorem poprzedniczek wybrać więzienie. Raptem usłyszała swoje imię wypowiedziane zmęczonym głosem:

- Viola Brandon. Odpowiada za to samo wykroczenie. Dwadzieścia szylingów grzywny albo czternaście dni aresztu.

Obojętny ton, jakim wypowiedziano te słowa, wpłynął na decyzję Violi. Przecież sędzia nawet na nią nie spojrział. Dziewczyna zamknęła oczy. Poczowała przyływ słabości i osunęła się bezwładnie na podłogę.

Dwóch policjantów wyniosło Violę z sali rozpraw.

Wracając do przytomności, usłyszała znajomy głos:

- Proszę, oto pieniądze, wysoki sędzie, grzywna za pannę Brandon.

Violę ocucił powiew świeżego powietrza. Ktoś delikatnie umieścił ją w samochodzie. Usłyszała głos Rayburna Lyle'a:

- Dziękuję, sierżancie.

Drzwiczki zatrzasnęły się i ruszyli. Viola otworzyła oczy. Zobaczyła uśmiechniętą twarz Lyle'a.

- Jest pani lepszą aktorką niż sądziłem. Usiadła i poprawiła kapelusz.

- Myślałam... to pan... pan mnie uratował...

- A któż by inny?



- A skąd pan wiedział, że tu jestem?
  - Byłem przypadkowo w komisariacie. Ujrzał pytanie w jej oczach i roześmiał się.
  - Nie, nie jako aresztowany. Przyjechałem tam po odbiór skradzionej mi rzeczy, którą policja odzyskała od pasera za sumę trzech funtów. Ta rzecz była dla mnie znacznie więcej warta.
  - I wtedy zobaczył mnie pan? - zapytała Viola cicho.
  - Zobaczyłem i pomyślałem, że musiało zdarzyć się coś niedobrego - odparł Lyle. - Czyżby chciała pani podłożyć następną bombę?
  - Nie, nic podobnego - zaprzeczyła nerwowo. - Macocha kazała mi obserwować demonstrację na Downing Street i właśnie tam...
- Zamilkła zakłopotana.
- Co się stało? - nalegał markiz.
  - Ktoś mnie popchnął. Prosto na policjanta. Ulotki, które macocha kazała mi nieść, rozsypały się po całym chodniku.
- Wyczuła, że Rayburn Lyle domyślił się prawdziwego przebiegu wypadków.
- Ostrzegalem, żeby bardziej uważała pani na siebie.
  - Próbowałam... - Viola ciężko westchnęła. - Teraz wydaje mi się, że nie cierpię samej myśli o posiadaniu praw wyborczych. Nie chcę żadnych praw wyborczych!
  - Mogę to doskonale zrozumieć. Nie musi się pani w tak młodym wieku martwić o politykę. Powinna się pani cieszyć życiem. Jestem pewien, że pani ojciec tego właśnie by sobie życzył.
  - Chciałabym móc pomagać kobietom ze wschodniego Londynu. One cierpią prawdziwą nędzę. Czytałam raporty parlamentu na temat sytuacji mieszkaniowej, analfabetyzmu i strasznej biedy panującej w niektórych częściach Anglii.

Zastanawiam się czy prawa wyborcze rozwiązałyby problemy tych kobiet?

- Absolutnie nie! - odparł z przekonaniem Rayburn Lyle. - Ma pani całkowitą rację, Violu. Sufrażystki powinny skoncentrować się na poprawie warunków bytu ubogich, a nie na bezsensownej walce z mężczyznami. I przestać się ośmieszać zabawą w politykę.

Uważnie popatrzył na Violę i dokończył już innym tonem:

- Jest pani zmęczona. Pewnie niewiele spała pani poprzedniej nocy i nic nie jadła. Trzeba jechać do domu i odpocząć. I starać się zapomnieć. To było straszne przeżycie. Nie wolno dać się pani zaplątać w podobną sytuację.

- Może mi się uda... - odparła Viola trzęsącym się głosem.

Bała się macochy, bała się powrotu do domu. Czuła jeszcze piekący ból policzków. Co powinna teraz zrobić?

Zadrzała. Lyle uspokajająco pogładził ją po dłoni.

- Wcześniej czy później - rzekł cicho, jakby wiedział, o czym ona myśli - zdobędzie się pani na odwagę i odmówi lady Brandon. Demonstracje sufrażystek zawsze kończą się w podobny sposób.

Kiedy dotknął jej ręk, Viola niespodziewanie poczuła, że dreszcze zamieniły się w kojące, ogarniające ją ciepło.

- Kiedy jestem z panem - rzekła - niczego się nie boję, ale przy innych ludziach zachowuję się jak tchórz.

- Uważam, że ma pani więcej odwagi, niż się pani zdaje. Kiedy otrząśnie się pani z szoku, będziemy musieli znaleźć sposób, aby rozwiązać pani problemy.

- Moglibyśmy to zrobić? - zapytała Viola.

- Dlaczego nie? Moja rola jako polityka polega również na zainteresowaniu problemami obywateli.

- Gdybym mogła radzić się pana, poczułabym się silniejsza.

- Postaram się znaleźć czas w przyszłym tygodniu, o ile przyrzeknie mi pani nie zaplatać się w kolejną wariacką akcję.

- Będę ostrożna - obiecała Viola. Automobil zatrzymał się. Viola wyjrzała przez okienko. Zatrzymali się u wylotu Curzon Street, tam gdzie poprzednim razem.

- Był pan dla mnie bardzo dobry - powiedziała Viola. - Jestem głęboko wdzięczna. Bardziej niż potrafię to wyrazić.

- Najlepiej podziękuję mi pani, nie wplątując się w następne kłopoty - oświadczył Rayburn Lyle i dodał: - Spotkamy się w przyszłym tygodniu. Tymczasem proszę dbać o siebie.

- Jeszcze raz dziękuję - wyszeptała. - Był pan... cudowny.

Spojrzała mu w oczy i na moment zapadła cisza. Coś dziwnego stało się z nimi obojgiem. Violi wydało się, że otoczył ich nagle słoneczny blask.

Rayburn Lyle z uśmiechem ujął dłoń dziewczyny i ucałował.

- Niech pani bardzo uważa.

Szofer otworzył drzwiczki i Viola wysiadła.

Rayburn Lyle nie odprowadzał jej. Wiedziała, że nie chciał, by zauważono ich razem na ulicy. Viola szła powoli Curzon Street. Czuła się samotna i bezradna.

Przy nim nabieram odwagi, rozmyślała, odwagi, którą powinnam osiąść za wszelką cenę.

Lokaj, który otworzył jej drzwi, zagadnięty o lady Brandon, odparł:

- Nie, panno Violu. Pani wyszła dziś wczesnym rankiem i powiedziała, że wróci dopiero po obiedzie.

Viola odetchnęła z ulgą. Bała się, że będzie musiała stawić czoło macosze i przyznać się, że znowu stchórzyła. Wiedziała doskonale, jaką wywoła to reakcję. Możliwe, że lady Brandon uwierzy w historyjkę o zasłabnięciu podczas przesłuchania, ale na pewno wyda jej się podejrzany fakt, że ktoś zapłacił za

Violę grzywnę. Na szczęście zdarzali się wśród sądowej publiczności filantropi, gotowi zapłacić karę za sufrażystki. Wbrew opinii publicznej, wstrząśniętej możliwością uwięzienia pań z towarzystwa, bojowniczeki o prawa kobiet wybierały zwykle Holloway.

Viola wykapała się i poszła spać. Ostatnie wydarzenia doszczętnie ją wyczerpały, zapadła więc w mocny sen bez marzeń.

Obudziła się dopiero późnym popołudniem. Czuła szaleńczy głód. Zadzwoiła na służbę i w kwadrans później kończyła już omlet. Sięgnęła właśnie po filiżankę herbaty, gdy do pokoju wkroczyła lady Brandon.

Viola zeszywniała, a jej oczy pociemniały ze strachu. Czekwała na atak, który mógł nastąpić w każdej chwili.

- Co ty tu robisz?! - zagrzmiała lady Brandon.

Siedząc w jednej z eleganckich łóż Daly's Theatre, w oczekiwaniu na podniesienie kurtyny, Viola pomyślała, że naprawdę powinna okazać wdzięczność lordowi Croxdale. Tylko z powodu jego zaproszenia macocha oszczędziła Violi razów tego wieczoru. Co prawda, okazywała pasierbicy pogardę i obrażała ją obelżywymi określeniami, ale nie posunęła się do wyładowania na dziewczynie złości.

- Lord Croxdale bardzo nalegał, abyśmy towarzyszyły mu dziś do teatru. Chociaż, mam nadzieję, odczuwasz wstyd na myśl o bohaterskich uwięzionych kobietach, spotkasz się z lordem, jak to zostało ustalone - powiedziała lady Brandon, ochłonawszy z pierwszego gniewu.

Perspektywa wyjścia z domu była dla Violi prawdziwą ulgą. Dziewczyna ubrała się szybko, starając się wyglądać jak najładniej. Wybrała więc jedną z najelegantszych sukien. Macocha, mimo że nie cierpiała Violi, życzyła sobie, by pasierbica wyglądała stosownie do swojego stanu. Właściwie we wszystkich strojach Viola wyglądała doskonale, chociaż

miała nieco zbyt szczupłą figurę. Tego wieczoru zarzuciła na śnieżnobiałą suknię wykwintne puchowe boa, które nadało jej szczególnego powabu i wyróżniało na tle eleganckich pań przybyłych na premierę „Wesołej wdówki”. Błyszczały biżuterią, a kobiece ramiona odcinały się bielą od czarnych fraków mężczyzn. Matka Violi powiedziała by zapewne: „rajskie ptaki”.

Viola nie raz była już w teatrze, ale nigdy jeszcze nie zajmowała tak dobrej łoży. Zdawała sobie sprawę, że mnóstwo osób zastanawia się, kim jest dziewczyna towarzysząca lordowi Croxdale.

Premiera okazała się fascynująca.

Widownia szumiała niczym rój pszczoł. Zasiadający w rzędach na parterze rozglądali się po łożach za znanymi osobistościami, których dzisiaj w Daly's Theatre nie brakowało. Było to przedstawienie premierowe, większość teatromanów zjawiała się więc punktualnie. Panował pełen podniecenia nastrój.

Viola obserwowała ubranych z wyszukaną elegancją mężczyzn. Nowością w tym sezonie okazały się wysokie kołnierzyki i białe krawaty noszone do surdutów o długich połach.

Mimo iż czuła do lorda irracjonalną, głęboką niechęć, trudno było Violi nie podziwiać starszego pana w wieczorowym stroju.

Lord Croxdale ustalił z lady Brandon, iż przed wyjściem do teatru spożyją w jego domu lekki posiłek.

Obiad okazał się znacznie wykwintniejszy niż dania, które Viola zwykle jadła. Najpierw pojawiły się na stole kawior i ortolany. Król wprowadził modę na te małe, smaczne ptaszki, trudne do upolowania i przez to bardzo drogie. Później służba ustawiła na stole misy z brzoskwiniami skropionymi płonącym brandy. Owoce pochodziły z oranżerii w Croxdale

Park. Lord Croxdale i lady Brandon wznieśli toasty szampanem. Czwarty gość, starszy pan, przez cały czas zabawiał rozmową lady Brandon, dzięki czemu gospodarz mógł skoncentrować całą uwagę na Violi.

W teatrze lord znowu siedział obok Violi. Dziewczyna miała wrażenie, że zostało to specjalnie zaaranżowane przez Croxdale'a i macochę. Krępowało ją też wlepione w nią spojrzenie. Jednak, gdy podniosła się kurtyna, Viola zapomniała o wszystkich kłopotach, porwana melodyjną muzyką Lehara.

Podczas obiadu lord opowiadał, jak wiele zależy od dzisiejszej premiery.

George Edwardes, zwany familiarnie w teatralnym świecie „Starym”, miał ponoć poważne kłopoty finansowe. Opuściło go dotychczasowe szczęście. Zawiodło legendarne już niemal wyczucie repertuaru. Do niedawna „Stary” bezbłędnie przewidywał gusta publiczności. Ostatnio jednak sztuki coraz szybciej schodziły z afisza. Wpływy kasowe malały, a wydatki rosły. Zmiany stały się konieczne. Wedle powszechnej opinii George Edwardes nie miał już jednak nic więcej do zaoferowania. I nagle niespodzianka! Inscenizacja operetki Lehara okazała się wielkim sukcesem.

- Podobno Edwardes obsadził w głównej roli Lily Elsie - relacjonował lord swoim gościom. - Musiał pan o niej słyszeć, panie Shardown. Ładna kobieta, ale nieduży głos!

- Bardzo ładna kobieta! - zgodził się zagadnięty, Viola nigdy przedtem nie widziała Lily Elsie, ale uroda, elegancja i wdzięk aktorki ujęły nie tylko pannę Brandon, ale i całą widownię. Muzyka Lehara zaś z miejsca oczarowała słuchaczy, których entuzjazm nie osłabł ani na chwilę aż do końca spektaklu.

- Cudowne! Piękne! Nigdy nie widziałam i nie słyszałam czegoś równie uroczonego! - entuzjasmowała się Viola, klaszcząc aż do bólu w dłoniach.

- Pani także jest urocza - szepnął lord.

Przywrócona tymi słowami do rzeczywistości, dziewczyna znowu odczuła strach i niesmak. Wstała. Croxdale pomógł jej założyć boa. Po przedstawieniu pragnęła powrócić prosto do domu. Skarciła się w duchu za brak wdzięczności. Lord zapraszał całe towarzystwo na poczęstunek. Kobiety uwięzione w Holloway cierpiały teraz męki głodu, lęku, osamotnienia, a ona cudem nie dzieliła ich losu. Zawstydzona własnym egoizmem, powiedziała:

- Dziękuję za dzisiejszy wieczór. Będę panu zawsze wdzięczna za to niezapomniane przeżycie.

- Tego właśnie chcę, Violu - odparł lord, wpatrując się zachłannie w jej wargi.

## Rozdział 4

Rayburn Lyle przeszedł przez salon i spojrzął w lustro ponad marmurowym gzymsem kominka. Poprawiając popielaty krawat, pomyślał, że jednym z najmniej fortunnych przejawów ostatniej mody jest uprawianie miłości w salonie. Utało się, że pora podwieczorku stwarza dogodne tło dla romansu. Mężczyzna bywał zapraszany przez zainteresowaną nim damę na spotkanie tete - a - tete (Tete - a - tete (fr.) - sam na sam (przyp. red.)) pod pretekstem popołudniowej herbaty. Obyczaj ten wprowadził król Edward w czasach, gdy był jeszcze księciem Walii, wykorzystując w ten sposób jedyną porę dnia wolną dla niego od licznych obowiązków towarzyskich i politycznych. Od mężów oczekiwano, że w tym czasie albo gościć będą u cudzych żon, albo też udadzą się do któregoś z klubów. Etykieta wymagała również, by zaproszony dżentelmen nie zostawiał cylindra, rękawiczek bądź laski w holu, sugerując, iż jest to jedynie parominutowa wizyta.

Nikt nie przeszkadzał umówionej parze. Służba doskonale wiedziała, że nie powinna wchodzić do salonu dopóki nie zostanie wezwana dzwonkiem. Wielkie, miękko wyściełane sofy sprzyjały rozwojowi romansu, za to popołudniowe toalety dam, opatrzone mnóstwem skomplikowanych zapiec i haftek wymagały dużej dozy cierpliwości i pomysłowości.

Niełatwo było rozsuptać tasiemki ściśle zasznurowanego gorsetu. Zgodnie z obowiązującą modą panie nosiły też turniury, a co szczuplejsze wypychały poduszczkami suknię przy dekolcie. Imponująca ilość halek i falbanek pod spódnicą o długim trenie stanowiła również znaczą przeszkodę dla kochanka. Toteż kobieta mogła sobie pozwolić na rolę kusicielki, mężczyzna natomiast, jeśli pragnął zdobyć ukochaną, musiał odznaczać się nie tylko uporem, ale i zręcznością panny garderobianej.



I właśnie wtedy, w pierwszych latach nowego stulecia, pewna genialna kobieta o imieniu Lucille, nawiasem mówiąc, dama z urodzenia a kupiec z zawodu, wylansowała tak zwane „herbaciane suknie”, które szczególnie dobrze nadawały się na podwieczorki tete - a - tete.

Uszyte z szyfonu, aksamitu bądź jedwabiu spływały z ramion, nadając damie zwiewny, kuszący wygląd. Sama królowa Aleksandra zaakceptowała ten fason. Często zasiadała do herbaty w powłóczyściej jedwabnej sukni przybranej koronką.

Gdy tego popołudnia Rayburn Lyle wszedł do salonu Eloise Davenport, gospodyni powitała go spowita w zieloną szyfonową szatę, odsłaniającą więcej niż okrywającą. Lyle odłożył cylinder, laskę, rękawiczki i usiedli na kanapie. Nie czekając ani chwili dłużej, Eloise przytuliła się mocno do gościa. Żadne z kochanków nie zwróciło najmniejszej uwagi na ustawione na stoliku frykasy.

W jakiś czas potem, poprawiając krawat, Rayburn Lyle tępo wpatrywał się w odcisnięty przez wysoki kołnierzyk, czerwieniejący na szyi ślad. Lyle czuł niesmak. Nagle wydało mu się, że ani chwili dłużej nie wytrzyma w dusznym salonie o szczelnie zasłoniętych oknach.

Eloise Davenport spoglądała na kochanka rozpalonym wzrokiem.

- Kocham cię! - powiedziała. - Dlaczego nie możemy spędzić weekendu we dwoje? Znajdź jakiś pretekst, żeby zostać w Londynie.

- Jestem już umówiony. A poza tym gdybyśmy pokazali się znów razem, zwrócono by na to uwagę, I tak mówi się już o nas za dużo.

- Martwisz się o mnie czy o siebie?

- O nas oboje - odparł szczerze. - Ty masz męża, a ja karierę polityczną.

- Przecież George jest w Paryżu - rzekła Eloise. - Znam takie miejsca, gdzie nikt by nas nie rozpoznał.

Rayburn Lyle milczał. Nigdy przedtem Eloise nie czyniła mu tak niedwuznacznych propozycji. Przyglądał się jej zdumiony.

- Chcę być tylko z tobą - szepnęła namiętnie - spędzić całą noc w twoich objęciach. Przecież te krótkie wspólne chwile, kiedy wsłuchujemy się w każde skrzypnięcie za drzwiami, są nie do zniesienia!

Lyle zgadzał się z nią, ale był zbyt rozsądny, aby przyznać jej rację. Zamiast tego rzekł:

- Nie ma wyboru. Wiesz doskonale, jak zareagowałby twój mąż.

Lady Davenport uznała słuszność słów kochanka. George mógł przymykać oko na jej miłostki, a i sam bez wątpienia umiłał sobie życie flirtami, ale gdyby wybuchł skandal nie mógłby go zlekceważyć pod groźbą utraty honoru. Fundamentem życia w wielkim świecie było jedenaste przykazanie: „nie daj się przyłapać”. Skandal uznawano za najcięższy grzech. Toteż romantyczna schadzka proponowana przez Eloise była zupełnie nie do przyjęcia i oboje kochankowie o tym wiedzieli.

- Myślę, że dobrze zrobię, wyjeżdżając na weekend zgodnie z wcześniejszymi planami - oświadczył Rayburn Lyle z uśmiechem. - Niepotrzebnie się dąsas.

- Oddałam ci serce.

Leżąc na poduszkach, Eloise wyciągnęła ręce do kochanka. Miękki materiał odsłonił jej białe ramiona. Wyglądała cudownie, lecz jakiś wewnętrzny głos przestrzegał Lyle'a: „uważaj”. Owszem, lady Davenport ekscytowała go i pociągała bardziej niż jakakolwiek kobieta do tej pory, ale nie był w niej ani trochę zakochany. Dostrzegał jej egocentryzm i bezwzględność w dążeniu do wytkniętego celu. Należała do

osób, które potrafią podporządkować wszystkie myśli, uczynki i uczucia dla uzyskania upragnionej zdobyczy. Znała też wartość swej niezwyklej urody i umiała robić z niej użytek.

Rayburn Lyle wiedział już, że ich związek ma się ku końcowi, choć lady Davenport nawet tego nie przeczuwała. Przeżyli już apogeum romansu. Pociąg do Eloise przetrwa jeszcze zapewne kilka spotkań, ale coraz rzadziej będzie można zobaczyć automobil Lyle'a zatrzymujący się przed domem Davenportów w porze herbaty.

Spojrzał na zegar.

- Muszę już iść.

- Nie odchodź jeszcze, kochanie. Zostań - Eloise wyciągnęła zapraszająco ramiona i wpatrywała się w niego roziskrzonym wzrokiem. Jej usta kusiły do pocałunku.

Rayburn Lyle jakby tego nie widział. Oficjalnie ujął jej dłoń i ucałował.

- Eloise, dziękuję za cudowne popołudnie - rzekł głębokim głosem.

- Zobaczę cię jutro?

- Mówiłem ci już, że muszę wyjechać na wieś.

- Ale możesz odwiedzić mnie rano. Muszę cię zobaczyć!

Lady Davenport czuła, że kochanek szuka pretekstu do odmowy. Nie nawykła, by mężczyzna nie wysłuchał jej prośby. A w przypadku Rayburna była przekonana, iż chce on nie tylko jej ciała, ale i serca.

- Moglibyśmy zjeść razem śniadanie - poprosiła jeszcze raz. - Tutaj albo gdziekolwiek zechcesz.

- Powiadomię cię - rzekł wymijająco. Zerwała się z sofy i otoczyła ramionami jego szyję.

- Ach, Rayburnie - szepnęła, szukając jego ust. - Nigdy nie było takiego kochanka jak ty! Nie mogę pozwolić ci odejść nawet na parę chwil...

Nie odpowiedział. Westchnęła głęboko.

- Gdybyś był moim mężem, życie wyglądałoby zupełnie inaczej! Musisz mnie zawsze kochać! Przysięgam, nie potrafię żyć bez ciebie!

Rayburn Lyle, nie mogąc w tej sytuacji uczynić nic innego, pocałował ją i wyswobodził się z jej objęć.

- Rano przyślę ci wiadomość - obiecał. - Teraz jednak muszę już iść. Czeka na mnie premier.

Nie była to prawda, choć istotnie Lyle wybierał się na spotkanie z kilkoma ministrami, lecz wobec takiej wymówki Eloise nie zrobiła już żadnego wysiłku, aby go zatrzymać. Wiedziała, że polityka zajmuje w jego sercu pierwsze miejsce.

- Kocham cię! - powiedziała na pożegnanie. - Pamiętaj, że kocham cię ponad wszystko i myśl o mnie. Myśl o mnie cały czas, Rayburnie...

I rzeczywiście trudno byłoby Lyle'owi zapomnieć od razu o wizycie u Eloise. Ubranie przesiąkło mu wonią jej perfum, a wspomnienie pocałunku nadal paliło mu wargi. Młody człowiek poczuł nagłą irytację. Zmarnował całe popołudnie, które mógł spędzić jeżdżąc konno lub na korcie tenisowym. Duszna atmosfera salonu lady Davenport przyprawiła go o zawroty głowy. Zrobiło mu się mdło jak po zjedzeniu zbyt tłustego pasztetu. Siłą woli skoncentrował się na myśli o czekających go obowiązkach. Zdecydował, że nic nie powstrzyma go od złożenia nazajutrz wizyty u lorda Croxdale'a.

Następnego ranka lady Davenport otrzymała na tacy ze śniadaniem kartkę od Rayburna Lyle'a. Służąca wniosła także ogromny kosz orchidei.

Eloise gwałtownie rozdarła kopertę. Doskonale wiedziała, co znajdzie w liście: przeprosiny za nieobecność, zawiadomienie o wyjeździe na wieś i ani czulszego słówka. Lyle był zbyt sprytny, żeby wypowiadać się otwarcie. Z

pewnością do żadnej kobiety nigdy nie skreślił ani jednego kompromitującego go słowa. Eloise czuła się rozczarowana i upokorzona, lecz musiała przyznać się sama przed sobą, że jej ciało tęskniło za Rayburnem, najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Jeszcze nigdy nie byłam tak szalenie zakochana, myślała, i nigdy nie wyglądałam piękniej!

Wpatrzyła się w swoje odbicie spoglądające na nią z lustra o złotej ramie, zawieszzonego nad toaletką tak, by mogła przeglądać się leżąc w łóżku.

Zastanawiała się, co Rayburn czułby teraz na jej widok. Długie ciemne włosy spadające na białe ramiona i cienka koszulka prawie w ogóle nie osłaniająca ciała. Zerknęła na orchidee i doszła do wniosku, że one również podkreślają jej urodę. Mężczyźni porównywali ją często do tego właśnie kwiatu, egzotycznego, podniecającego. Przeciągnęła się zmysłowo i opadła na koronkowe poduszki. Rayburn z pewnością przyjdzie w poniedziałek. Jeżeli wróci George, wyślę go do klubu, pomyślała. I znowu go zobaczę. Na wspomnienie wczorajszego południa serce lady Davenport zabiło mocniej.

Rayburn Lyle opuścił Izbę Gmin, gdzie przez cały piątkowy ranek przewodniczył obradom swojej komisji. Przed wyruszeniem do Croxdale Park chciał jeszcze zjeść coś szybko. W ubiegłym tygodniu nabył nowy model mercedesa o mocy sześćdziesięciu koni mechanicznych. Droga nie powinna mu więc zająć więcej niż trzy godziny. O piątej powinien być już na miejscu. Zdąży akurat przebrać się przed obiadem.

Na lunch udał się do klubu St. James. Serwowano tam dobre jedzenie, a Rayburn Lyle odznaczał się wyrafinowanym smakiem.

Przyłączywszy się do grupy znajomych, młody człowiek wdał się w dyskusję o sytuacji politycznej i niemieckich projektach budowy silnej floty wojennej. Rozmowa wciągnęła go, więc czas mijał szybko. Lyle ani się obejrzał, a już musiał jechać do domu, by przebrać się do podróży. Wstał i zaczął się żegnać, kiedy do sali wkroczył major Garthwaite, stary znajomy Rayburna Lyle'a.

Major William Garthwaite, szcycący się mianem królewskiego kuriera, spędzał życie w podróżach, przewożąc pocztę dyplomatyczną.

- Witaj, Garthwaite - zawołał Rayburn Lyle, wyciągając dłoń. - Nie wiedziałem, że już wróciłeś z Paryża.

- Miałem zamiar wstąpić do ciebie dziś po południu.

- Przykro mi, ale nie będzie mnie w domu - odparł Lyle. - Czy stało się coś ważnego?

- Nic takiego, co nie mogłoby poczekać do poniedziałku.

- Więc niech poczeka! - uśmiechnął się Lyle. Ruszył ku wyjściu, lecz słowa Williama Garthwaite'a sprawiły, iż zatrzymał się jak skamieniały.

- Czy słyszałeś już nowinę o George'u Davenportie?

- Jaką nowinę?

- Wczoraj miał zawał. Nie żyje.

- O Boże! - Lyle nie mógł opanować okrzyku.

- To będzie wstrząs dla wszystkich - rzekł Garthwaite. - Szczególnie dla lady Eloise.

Rayburn zmobilizował się, by nie dać po sobie poznać miotających nim uczuć. Ledwo mógł uwierzyć w słowa Garthwaite'a. Pamiętał, że Eloise parokrotnie mu opowiadała o niedomaganiach męża.

- George fantazjuje. Twierdzi, że ma słabe serce, ale to nic innego, tylko niestrawność. Je i pije za dużo!

Okazało się jednak, że to nie była hipochondria. George nie żył, a Rayburna Lyle'a ogarnęło niemiłe przeczucie, że piękna wdowa oczekiwać będzie konkretnych deklaracji.

W drodze na Queen Anne's Gate, rozmyślał Lyle o zbliżających się kłopotach.

Pamiętając, że czas nagli, wbiegł po schodach i energicznie zakolał do drzwi, które otwarły się natychmiast.

- Wszystko już gotowe, sir - powiadomił go kamerdyner. Po czym dodał:

- Dopiero co przyniesiono adresowany do pana list. Henry go odebrał. Zdaje się, że to coś pilnego i wymaga natychmiastowej odpowiedzi.

Lyle rzucił okiem na kopertę, którą kamerdyner podał mu na srebrnej tacy. Natychmiast domyślił się, od kogo pochodzi wiadomość. Trudno było nie rozpoznać bladozielonego ulubionego papieru Eloise, czy też jej energicznego charakteru pisma.

- Mówisz, że Henry odebrał ten list? - upewnił się Lyle. W domu Lyle'a Henry był chłopcem do wszystkiego. Znaczna ocieężałość umysłowa nie przeszkadzała mu wiernie i z pełnym oddaniem służyć swemu panu.

- Tak, sir.

Rayburn Lyle zastanawiał się przez moment.

- Posłuchaj, Batesman - rzekł w końcu - gdyby cię ktoś pytał, wyjechałem na wieś, zanim ten list tu dotarł. Niech leży i czeka na mój powrót. Rozumiesz?

- Tak jest, sir.

- Bardzo dobrze. A teraz muszę się już pospieszyć.

Oddalając się od Londynu, Rayburn Lyle czuł się, jakby uciekał od Eloise. List zawierał zapewne wiadomość o śmierci George'a. Lyle był przekonany, że kochanka będzie nalegać, by ją poślubił, gdy tylko skończy się okres żałoby. Nie raz snuła marzenia o ich wspólnej przyszłości. Doświadczenie

mówiło mu, że chociaż on nigdy nie wyraził podobnego życzenia, Eloise dążyć będzie do przekształcenia romansu w trwałą związek.

Angielki są męczące z tą swoją miłością aż po grób, myślał poirytowany. Każdy nieco dłuższy romans musi być dla nich wieczny. Od samego początku zresztą miał świadomość, że wcale nie pragnąłby Eloise na żonę. Jego zdaniem w niczym nie przypominała wymarzonej towarzyszkii życia. Nie potrafił jej sobie wyobrazić mieszkającej na wsi, czy też wiernie sekundującej mężowi w karierze politycznej. Lyle miał dość mgliste wyobrażenie o idealnej żonie, lecz Eloise z pewnością do niego nie pasowała. Rayburn interesował ją wyłącznie jako przystojny mężczyzna. Jego charakter i osobowość były jej najzupełniej obojętne.

W wolnych chwilach Lyle starał się studiować filozofię. Czasem rozmawiał o swoich pasjach intelektualnych, lecz nie zdarzyło mu się podejmować podobnych tematów wobec kobiet. Chciałby jednak, aby kobieta, którą wybierze, umiała dzielić jego zainteresowania. Na pewno też pragnął ją szanować. Przy Eloise odczuwał różne emocje, nie darzył jej jednak szacunkiem.

Mercedes jechał wspaniale, właśnie tak jak zaręczano Lyle'owi przy kupnie.

- Chyba pobiliśmy rekord, sir - zauważył szofer.

- Dwie godziny i pięćdziesiąt pięć minut! - Rayburn Lyle spojrzął na zegarek. - Zapytamy jego lordowską mość, czy udało mu się pokonać tę drogę w krótszym czasie. On jeździ chyba hispano - suizą.

- Pragnąłbym obejrzeć jego wóz, sir. To fantastyczna marka, lepsza ponoć od rolls - royce'a

Rayburn Lyle zdjął gogle i rzucił je na siedzenie.

We wspaniałym holu o marmurowych kolumnach lokaje w szamerowanych złotych galonami liberiach czekali, by



pomóc gościom rozebrać się z podróżnych okryć. Po chwili Rayburn Lyle wszedł do obszernego salonu o trzech wysokich francuskich oknach. Ubrany w popielaty garnitur prezentował się niezwykle elegancko. Wokół stołu zasiadało już sporo gości. Honory domu pełniła siostra Croxdale'a, lady Emily Daltrey. Starsza od brata, miała już całkiem białe włosy, w przeciwieństwie do innych dam nawet nie próbowała ukryć wieku.

- Rayburn, miło mi cię widzieć - zawołał lord, nadchodząc z tarasu. - Jak się jechało z Londynu?

- Doskonale! Wszystkiego tylko dwie godziny i pięćdziesiąt pięć minut. Mam nadzieję, że ci dorównałem, o ile nie pobiłem nowego rekordu.

- Miło mi więc oświadczyć, że dziś rano przejechałem tę samą trasę w dwie godziny i pięćdziesiąt dwie minuty - odparł lord. - Czy to możliwe, że pokonałem Szczęśliwego Lyle'a?

- Pokonałeś! - przyznał Lyle.

- Komuś musiało się to wreszcie udać - zaśmiał się gospodarz. - Chyba wszystkich znasz?

Rayburn Lyle po kolei ścisnął ręce znajomym. Zdumiony zauważył wśród gości lady Brandon, a obok niej Violę.

Podali sobie dłonie. Viola podniosła na niego fiołkowe oczy i Rayburn natychmiast wyczuł, że dziewczynę coś dręczy. Rozpoznał zalekniony wyraz twarzy i drżenie palców.

Zdawało mu się jakby znów bezgłośnie wzywała go na pomoc, więc nieco dłużej przytrzymał jej dłoń.

- Chyba udane przyjęcie, nieprawdaż? - Croxdale zabawiał gościa rozmową. - Jutro, mam nadzieję, będzie jeszcze przyjemniej. Oczekuję na obiedzie króla, a towarzyszyć mu ma urocza Alice Keppel.

- Jego wysokość przebywa gdzieś w sąsiedztwie? - zainteresował się Lyle.

- Tak, król bawi obecnie w Blenheim. Oczywiście, księżę i księżna Marlborough przybędą również.

- Miło będzie znowu ich zobaczyć - ucieszył się Rayburn Lyle.

- Księżę też był zadowolony, gdy powiedziałem mu, że i pan przyjął zaproszenie - odparł lord.

Rayburn Lyle nie miał okazji porozmawiać z Violą, gdyż panie udały się właśnie na górę odpocząć przed obiadem. Żywił nadzieję, że być może później uda mu się zamienić z nią kilka słów na osobności.

Nie wiedział nawet, iż Viola znalazłszy się w sypialni zmówiła modlitwę dziękczynną za jego przyjazd.

- Dziękuję Boże, dziękuję - powtarzała. - Tylko on może mnie uratować! Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić!

Podróż samochodem wysłanym przez gościnnego gospodarza była dla dziewczyny koszmarem. Przed samym wyjazdem lady Brandon uraczyła Violę wiadomością, która na nieszczęsną podziałała jak wybuch bomby.

Starsza pani weszła do biblioteki w chwili, gdy pasierbica wybierała sobie książkę na drogę.

- Chcę z tobą porozmawiać, Violu - rzekła twardo.

- Co się stało, madre? - zdenerwowała się Viola. Dobrze wiedziała, że macocha jeszcze nie zapomniała jej kompromitacji podczas rozprawy sądowej.

Tymczasem lady Brandon usadowiła się w skórzanym fotelu.

- Usiądź! - poleciła stanowczo.

Viola przysiadła na sofie, drżąc z lęku przed niewiadomym, które miało nastąpić.

- Widziałam, że dobrze bawiłaś się wczorajszego wieczoru - oświadczyła niespodziewanie macocha - i zauważyłam, jak nadskakiwał ci przy kolacji lord Croxdale.

W rzeczywistości Violę krępowało zainteresowanie gospodarza wyłącznie jej osobą. Prawie wcale nie zwracał uwagi na pozostałych gości, a ona kurczyła się dosłownie z przykrości i zażenowania.

- Najwyraźniej mu się podobasz. Uważam, Violu, że nie ma dla ciebie lepszego wyjścia niż zostać jego żoną.

- Jego żoną?! - wykrzyknęła Viola. - O, nie! Nawet, gdyby prosił mnie o rękę! Przecież on jest stary!

- Jestem pewna, że lord ma zamiar się oświadczyć - kontynuowała spokojnie lady Brandon. - Wczoraj wyróżniał cię w widoczny sposób. Zaproszenie do Croxdale Park i przysłanie po nas samochodu powinno dać ci do myślenia.

- Madre, mam nadzieję, że się mylisz! - zawołała wzburzona Viola. - Nie przypuszczam, żeby lord nosił się z takim zamiarem.

- Dlaczego? Zawsze gustował w młodych dziewczynach - lady Brandon jakby nie dosłyszała protestu. - Obie żony dopiero co wchodziły w wielki świat, kiedy je poślubił.

- Dwie żony?! To on już był żonaty?

- Oczywiście! Pierwsza żona zmarła przy porodzie. To, jak sędzę, głęboko go poruszyło - wyjaśniła lady Brandon. - Była od niego o dwadzieścia lat młodsza. Druga żona zginęła rok temu na polowaniu. Miała zaledwie osiemnaście lat i nie zdążyła nawet urodzić mu dziecka.

Macocha przez chwilę milczała. Wreszcie dodała:

- On potrzebuje dziedzica. Jestem absolutnie przekonana, że niebawem oświadczy ci się.

- Nie przyjmę jego oświadczyn - Viola nie potrafiła ukryć przerażenia podobną perspektywą. Lady Brandon rzuciła jej twarde spojrzenie.

- Jesteś niepełnoletnia, więc z pewnością lord najpierw będzie rozmawiał ze mną. A ja przyjmę jego propozycję w twoim imieniu i to z największą przyjemnością.

- Nie poślubię takiego starca - jęknęła Viola. Pamiętała, jakim wstrętem napawał ją ten mężczyzna. Nie lubiła go od pierwszego wejrzenia.

- To jedna z najlepszych partii w Anglii. Jest bliskim przyjacielem króla i znanym hodowcą koni wyścigowych. Ma właściwie same zalety, a ty jesteś idiotką i Bóg jeden wie, dlaczego akurat mu się spodobałaś.

- Może, gdy się dowie o moich wadach przestanie się mną interesować?

- Nie udawaj głupszej niż jesteś! - krzyknęła lady Brandon, tracąc cierpliwość. - Wysławiałam przed nim twoje domniemane zalety przez cały wczorajszy wieczór. Wychwalałam cię pod niebiosa i mam nadzieję, że on nie zauważy twojej głupoty dopóki się nie zaręczycie.

- Nie wyjdę za niego! Nie wyjdę!

- Jeżeli przeciwstawisz się moim planom, pożałujesz! Zapewniam cię, Violu, zamierzam przeprowadzić swoją wolę. Dla ciebie to będzie wyróżnienie i zaszczyt, a dla nas korzystna okazja.

Viola patrzyła zdumiona. Macocha zaś mówiła dalej:

- Nie mogę oczekiwać, że zrozumiesz dopóki nie wyłożę kawy na ławę - głos lady Brandon stał się cierpki. - Przedstawię ci sprawę bez ogródek. Obecnie nie jesteś nic warta dla naszego ruchu. Żadnego zadania nie zdołałaś wykonać poprawnie. Natomiast jako hrabina Croxdale będziesz dla nas ogromną pomocą.

Viola osłupiała. Sądziła, że macochą powoduje jedynie chęć pozbycia się pasierbicy z domu, a tymczasem sytuacja wyglądała o wiele poważniej. - Wesprzesz nas finansowo - tłumaczyła lady Brandon. - No i przyda się też nazwisko i tytuł w celach propagandowych.

- To absolutnie niemożliwe - przerwała Viola drżącym głosem. - Nigdy nie wyjdę za lorda Croxdale'a.

Lady Brandon zmrużyła oczy.

- Spójrz na mnie, Violu - wycodziła. - Wiesz, co zrobię, jeśli odmówisz lordowi?

Mówiła powoli i z namysłem. Viola czuła narastający strach, mimo to ze wszystkich sił starała się być dzielną. Kiedyś, gdy opierała się woli macochy, ta zbiła ją niemal do nieprzytomności. Dziewczyna wciąż pamiętała ból posiniaczonego ciała. Jej oczy musiały zdradzić strach, bo lady Brandon tylko się roześmiała.

- Zgodzisz się! - zawołała triumfalnie. - A ja pierwsza złożę ci gratulacje.

W czasie podróży na wieś Violę ogarnął paralizujący lęk przed nadchodzącymi wydarzeniami. Znow zaczęła żałować, że nie zginęła podkładając bombę w domu Lyle'a.

Widok Croxdale Park, wspaniałej skąpanej w popołudniowym słońcu posiadłości, bynajmniej nie uśmierzył strachu dziewczyny.

Gospodarz wyszedł im na powitanie. Viola próbowała przekonać samą siebie, iż bać się tego uśmiechniętego starszego pana jest absurdem. Lecz gdy lord ujął jej rękę, nie potrafiła powstrzymać dreszczu wstrętu.

- Prosiłem panie na godzinę nieco wcześniejszą niż pozostałych, gdyż muszę porozmawiać z paniami na osobności.

- Czy coś się stało? - zapytała niewinnie lady Brandon.

Viola oddychała z trudem. Miała tylko nadzieję, że Croxdale nie oświadczy się teraz w obecności macochy. Musi zyskać więcej czasu, żeby przemyśleć odpowiedź.

- Otrzymałem wiadomość, że Jego Wysokość ma zamiar zaszczyścić mnie jutro wieczorem swoim przybyciem. Myślę, że nie ma potrzeby o tym mówić szerzej, ale proszę, niech pani zrozumie moją sytuację, lady Brandon - zająknął się Croxdale. - Jednym słowem, pragnę panią prosić o

niepodnoszenie tematu wyzwolenia kobiet w obecności Najjaśniejszego Pana.

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu i dodał:

- Panie znają poglądy Jego Wysokości w tej sprawie. Nie chciałbym, aby czuł się zakłopotany uwagami któregoś z moich drogich gości.

Lady Brandon milczała. Violi zaś zaświtała nadzieja, że takie przywitanie skłoni macochę do natychmiastowego wyjazdu.

Lord Croxdale zaniepokojony brakiem reakcji dodał tonem usprawiedliwienia:

- Będę paniom niezmiernie wdzięczny za wyrozumiałość.

Mimo uprzejmego tonu nie było żadnej wątpliwości, co do zawartej w jego słowach aluzji. Lady Brandon spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się chłodno.

- Jesteśmy zobowiązane za pańską gościnność.

Viola zrozumiała, że klamka zapadła. Ogarnęło ją przerażenie. Lord chciał właśnie odezwać się do Violi, gdy zaanonsowano następnego gościa.

Widok Rayburna Lyle'a podniósł nieco dziewczynę na duchu. Czują, że tylko on może ją uratować.

On mi pomoże - starała się uspokoić. - On coś wymyśli, żeby mnie wyciągnąć z tej strasznej sytuacji.

Lord wydał jej się ludożercą, przed którym nie ma ucieczki. Na samą myśl o nim Violę paraliżował lęk. Na próżno powtarzała sobie, iż to tylko gra wyobraźni. Dotąd tylko teoretycznie wiedziała, że zdarzają się ludzie budzący odrazę. Pamiętała, że rozmawiała o tym kiedyś z ojcem, który wielokrotnie spotykał na dworze królewskim ludzi antypatycznych od pierwszego wejrzenia. I nic nie mogło go zmusić do utrzymywania stosunków towarzyskich z osobami takiego pokroju.

Jednak ojciec nie żył, a jedyną osobą, do której mogła zwrócić się o pomoc, był Rayburn Lyle.

Świadomość, że w białej tiulowej sukni ze srebrzystym podbiciem wygląda wyjątkowo pięknie, bynajmniej nie poprawiała Violi nastroju.

Taką ujrzał ją Rayburn Lyle. Pomyślał, że Viola przypomina przebiśnieg zwiastujący wiosnę nawet w porze mrozów. Dziewczyna rozglądała się wokół tak trwożliwie, iż poczuł silną potrzebę, aby ją chronić. Nigdy nie zdarzyło mu się coś podobnego. Kobiety, z którymi się do tej pory spotykał, nie potrzebowały jego opieki. Owszem, żądały mnóstwa rzeczy. Zawsze pewne siebie błyszczały na firmamencie towarzyskim niczym komety ciągnące za sobą tłum wielbicieli. Lyle obserwował Violę - skromną, bez biżuterii, odmienną na de oszałamiających przepychem kobiet. Nagle zapragnął objąć ją, przytulić i uspokoić. Gdyby to jednak uczynił, wywołałby z pewnością powszechne zdziwienie. Viola najwidoczniej należy do osób bez ustanku wpadających w tarapaty. Powinna wreszcie dorosnąć i nabrać odwagi do życia, pomyślał. Wiedział jednak, że nie jest na razie do tego zdolna.

Podczas obiadu Lyle'owi przydzielono miejsce naprzeciw Violi. Sąsiadujące z nim przy stole damy były wyjątkowo urodziwe i obie usiłowały nawiązać z nim flirt. Nie raz już zresztą próbowały odciągnąć jego uwagę od Eloise Davenport, a jej nieobecność u Croxdale'a dawała im nadzieję na osiągnięcie celu. Prowadziły grę ze zręcznością i wprawą, lecz Rayburn Lyle nie obdarzał ich nawet cieniem zainteresowania. Nie mógł się za to powstrzymać od rzucania ukradkowych spojrzeń na drugą stronę stołu. Między złotymi kandelabrami i bukietami kwiatów w porcelanowych wazonach migąła mu prześliczna twarz Violi Brandon.

Dziewczyna rozmawiała poważnie i uprzejmie z siedzącymi obok niej dżentelmenami. Bez wątpienia obaj uznali ją za nieoczekiwanie interesującą.

Nie tylko jednak spojrzenie Lyle'a biegło nieustannie w jej stronę. Z drugiego końca sali lord Croxdale pochłaniał ją wzrokiem, podobnie jak podczas kolacji w Londynie. Viola próbowała ignorować wlepiony w nią wzrok, ale wyraz tych hipnotyzujących ją oczu, przed którymi nie mogła się ukryć, przerażał ją i napawał obrzydzeniem.

Obiad zdawał się ciągnąć bez końca. Wreszcie lady Emily dała paniom sygnał do wyjścia. Viola rzuciła Rayburnowi rozpaczliwe, błagalne spojrzenie.

Panie udały się do salonu, gdzie oddały się z zapalem rozkoszom plotkowania. Viola usłyszała, jak bardzo ładna żona jednego z parów mówi do sąsiadki:

- Przed wyjazdem z Londynu dowiedziałam się, że naszemu gospodarzowi towarzyszyła w teatrze jakaś młoda panna. Bardzo się nią ponoć interesował.

Viola wstrzymała oddech.

- Któż to mógł być? - zastanawiała się druga rozmówczyni. - On zawsze lubił smarkule.

Pierwsza dama parsknęła złośliwym śmiechem.

- Zdaje się, że lord działa zgodnie z zasadą: upoluj jak najmłodszą i zachowaj pozory.

- One naprawdę muszą być bardzo młode, żeby nie zorientować się, co to za gagatek!

Znów zachichotały i widać było, że wymiana złośliwości sprawia im wielką radość. Po chwili do salonu weszli panowie. Rozstawiono stoliki do brydża, a lord, pełniąc honory domu, wskazywał gościom miejsca.

Rayburn Lyle podszedł do Violi i zapytał niedbałym tonem:

- Czy przypadkiem gra pani w pikietę?



- Gram.

- Więc wyzywam panią na pojedynek - zażartował.

Usiedli przy wolnym stoliku. Kiedy lord zorientował się i podszedł do nich, młody człowiek zaczął już tasować karty.

- Brakuje nam czwartego do brydża, Rayburnie - rzekł ostro.

- Przykro mi, ale obiecałem pannie Brandon, że pokonam ją w pikietę, w którą ponoć gra doskonale.

- Ja z przyjemnością zagram z panną Brandon - powiedział lord.

- Naturalnie, ale może najpierw zastąpi mnie pan przy stoliku brydżowym.

Widać było, że Croxdale z trudem tłumi niezadowolenie. Rayburn, nie zwracając na niego uwagi rozdawał karty, więc gospodarzowi nie pozostało nic innego jak dołączyć do reszty gości.

Rozkładając wachlarz kart i wpatrując się w nie z udawanym namysłem, Lyle zapytał:

- Co panią tak zdenerwowało?

- Skąd pan wie? - zdziwiła się Viola.

- Zaczynam już rozpoznawać objawy.

W jego głosie nie było chęci dokuczenia jej. Lyle uśmiechnął się i na moment wyraz oczu Violi uległ zmianie. Błysnęła w nich nadzieja.

Rayburn pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział kobiety o tak szczerym spojrzeniu. Mimo że poetycki zwrot o oczach, które są zwierciadłem duszy, wydawał mu się zawsze przesadny, w przypadku Violi zdawał się znajdować rację bytu. Myśli i uczucia odbijały się w jej oczach jak w wodzie górskiego strumienia. A teraz dziewczyna była bardzo smutna, nawet więcej - zrozpaczona.

- Niech mi pan pomoże! Proszę, proszę mi pomóc! Nie wiem, co mam robić! Nikt inny nie może mi doradzić, tylko pan!

- Co się stało? - zapytał. - Proszę udawać, że pani gra. Oto karta dla pani.

Viola starała się podporządkować poleceniom.

- Macocha przypuszcza, że lord Croxdale ma zamiar oświadczyć mi się! - wyrzuciła z siebie gwałtownie.

Przez moment Lyle patrzył na nią z niedowierzaniem, jakby posądzając o kiepski żart. Wreszcie pojął, że to prawda. Dawniej lord Croxdale nie zapraszał lady Brandon ani Violi. A dzisiejszego wieczoru Viola była jedyną tak młodą osobą na przyjęciu w Croxdale Park. Możliwe więc, że gospodarz żywił wobec niej poważne zamiary. Rzeczywiście, była w jego typie! Lyle przypomniał sobie krążące w klubie dowcipy na temat skłonności lorda do młodych dziewcząt. Dotąd Rayburn nie zwracał uwagi na tego rodzaju plotki. Jednakże kiedyś w pewnym podrzędnym klubie, gdzie brał udział w wieczorze kawalerskim, zauważył lorda w towarzystwie panienki w wieku niemal dziecięcym.

Teraz Lyle uważnie przyjrzał się gospodarzowi. Niegdyś bardzo przystojny, na starość roztył się, a rozpustne życie naznaczyło mu twarz wyrazem zepsucia. Trudno było dziwić się przerażeniu Violi.

- Jest pani pewna? - zapytał.

- Jak dotąd ze mną nie rozmawiał. Miałam nadzieję, że macocha się pomyliła, ale on nie spuszcza ze mnie oczu. Kiedy zaprosił nas parę dni temu na kolację po teatrze, ciągle starał się mnie... dotykać.

No tak, to w stylu Croxdale'a, pomyślał z gniewem Rayburn Lyle. Nastawanie na wrażliwą, delikatną niczym fiołek dziewczynę wydało się młodemu człowiekowi jawnym świętokradztwem.

- Proszę, niech mi pan pomoże! - błagała tymczasem Viola. - Boję się! Wierzę, że pan mnie rozumie!

- Rozumiem. A teraz proszę wziąć kartę! On na nas patrzy.

Posłusznie sięgnęła do talii. Udając, że nie patrzy na Violę, Rayburn zapytał:

- Domyślam się, że macocha nie pozwoli pani odmówić?

- Gdybym go odrzuciła, chyba by mnie zabiła. Dłużej tego nie wytrzymam. Boję się bólu.

Głos jej drżał. Rayburn Lyle mocno zacisnął usta. Czuł odrazę do okrucieństwa, a oto widział przed sobą bezbronną istotę, nad którą bestialsko się znęcano.

- Znów sprawiam panu kłopot - powiedziała cicho. - Pewnie męczą i nudzą pana moje problemy. Z pewnością chciałby pan mieć spokój, żeby myśleć o tej pięknej damie - szepnęła łamiącym się głosem.

Rayburn Lyle dopiero po chwili pojął, że Viola ma na myśli lady Davenport. Właściwie oboje jesteśmy w tej samej sytuacji, pomyślał. Viola pragnie uwolnić się od Croxdale'a, ja szukam ucieczki przed Eloise.

Nagle znalazł rozwiązanie. Z uśmiechem spojrzał na Violę, a jej serce zaczęło bić mocniej.

- Znalazłem wyjście! - rzekł z nutą triumfu w głosie. - Już wiem, co powinniśmy zrobić! Zareczymy się!

## Rozdział 5

W oczach Violi Rayburn ujrział zdumienie i niedowierzanie.

- Proszę mi zaufać - rzekł cicho. Nie musiał usłyszeć jej odpowiedzi, by wiedzieć, że powierzyła mu swój los. Rozejrzał się. Goście siedzieli przy stolikach skoncentrowani na grze. Rzucił więc karty i powiedział:

- Przejdźmy porozmawiać na taras. - Viola posłusznie ruszyła za nim. Wyszli do ogrodu, gdzie podawano właśnie herbatę.

Przystanęli przy kamiennej balustradzie. Aksamitne zielone trawniki ścieliły się u ich stóp. W oddali błyskała tafla jeziora. Słońce, złote i purpurowe, kryło się już za dębami, a wysoko na niebie rozbłysła pierwsza gwiazda, zwiastując nadejście nocy.

Rayburn oparł się o balustradę. Viola przystanęła tuż obok.

- Mamy mało czasu na rozmowę - szepnęła. Dziewczyna podniosła ku niemu twarz.

Wiedział, że nie może zawieść zaufania, które zobaczył w jej oczach.

- Ogłaszając zaręczyny - ciągnął - możemy nie określać dokładnego terminu ślubu. Ten stan rzeczy przeciągniemy, dopóki nie skończą się nękające nas kłopoty. A później znajdziemy jeszcze jakiś inny sposób.

- To pan również ma kłopoty? Uśmiechnął się.

- I to bardzo poważne, ale pani są o wiele dotkliwsze.

- Nie chcę dodatkowo pana obciążać.

- Pomoże mi pani, tak jak ja pani pomagam - rzekł stanowczo. - Ogłosimy nasze zaręczyny i Croxdale już nie będzie miał prawa się zbliżyć.

- Macocha oszaleje ze złości - westchnęła Viola - ale nie mogę już dłużej się jej poddawać.

- A cóż ma pani do stracenia? - zapytał pozornie lekkim tonem. Widział jednak, że Violę wciąż paraliżuje lęk.

- Więc, czy to niedobry pomysł?

- Naprawdę, czuję się... niezręcznie. Wiem, że robię panu kłopot.

- Nie żaden kłopot, ale wielką przysługę. - Powiedział to spokojnym, łagodnym tonem i od razu zauważył zmianę nastroju rozmówczyni. Oblicze Violi wypogadzało się.

- Pan jest taki dobry. Od razu wiedziałam... Tylko pan ze wszystkich ludzi na świecie potrafi mi pomóc.

- Jest pani tego pewna? - zapytał niespodziewanie.

- O, tak. Całkiem pewna.

Usłyszeli, że ktoś nadchodzi. Viola odwróciła głowę spodziewając się, że to lord, lecz zobaczyła lady Brandon. Macocha mocno zaciskała usta, a w jej oczach błyszczał gniew.

Viola odruchowo przysunęła się bliżej do Rayburna, a on z uśmiechem zagadnął lady Brandon, nim ta zdążyła się odezwać.

- Dobrze się składa, gdyż to pani powinna być pierwszą osobą, która dowie się o naszym szczęściu.

Jego słowa tak bardzo zaskoczyły starszą damę, że stanęła jak skamieniała.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - wyjąkała po chwili.

- Viola uczyniła mnie właśnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Mamy nadzieję, że otrzymamy pani błogosławieństwo.

Jakaś nutka szyderstwa w głosie Lyle'a sprawiła, że na twarzy lady Brandon odmalowała się furia. Rozsądek jednak kazał jej się opanować. Straciła, co prawda, lorda, zyskała jednak w roli zięcia samego podsekretarza stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Mimo to niełatwo było starszej damie zdobyć się na uśmiech.

- To zupełna niespodzianka! Nie miałam pojęcia, że w ogóle się państwo znacie!

- Spotkałem Violę jakiś czas temu - odparł spokojnie Rayburn. - I, oczywiście, darzyłem wielkim szacunkiem jej ojca.

Jego słowa ostatecznie przekonały lady Brandon, która zwróciła się do pasierbicy:

- W takim razie życzę ci wszystkiego najlepszego, Violu, i mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

W jej głosie brzmiał sceptycyzm, lecz dziewczyna była zbyt uradowana, żeby się tym przejmować.

- Dziękuję - odrzekła krótko.

- Wysłałam, żeby was złąjąc za tajną schadzkę - powiedziała lady Brandon - ale teraz, jak sądzę, nie zechcecie trzymać tej radosnej wiadomości w sekrecie?

- Oczywiście, że nie! - oświadczył z powagą Rayburn. - I, jeśli pani pozwoli, dam jutro zawiadomienie o zaręczynach do rubryki towarzyskiej w Timesie.

Lady Brandon bez słowa odeszła spieszenie do salonu. Rayburn uśmiechnął się zaś do Violi.

- Oto pierwszą przeszkodę mamy za sobą.

- Był pan cudowny. Myślałam, że ona strasznie się rozzłości. Teraz dopiero widzę, jaki pan jest... ważny.

Rayburn Lyle też był zadowolony. Trzeba jeszcze uporać się z Croxdale'em, pomyślał. Podejdę zaraz do lady Brandon tak, aby lord i jego goście to zauważyli. Będziemy rozmawiać na oczach wszystkich. I Lyle ruszył z powrotem do salonu.

Gospodarz był zdumiony i zdenerwowany.

- Co ja słyszę? - zapytał wrogo. - Zaręczył się pan z Violą? Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziano!

- Aż do dzisiejszego wieczoru nie byliśmy pewni naszych uczuć - odparł spokojnie Rayburn - ale w tym bajecznym otoczeniu trudno nie poddać się miłości.

Lord rzucił mu ostre spojrzenie, jakby spodziewał się zupełnie innego wyjaśnienia. Potem zaś zwrócił się do Violi.

- Czy jesteś pewna, moja droga, że nie popełniasz błędu, zaręczając się w tak młodym wieku?

- Mam prawie dziewiętnaście lat.

- Zbyt mało na podjęcie równie nieodwracalnej decyzji. Jednak Lyle ma rację, dzisiejsza noc skłania do miłości.

Croxdale usiłował mówić obojętnie, lecz w jego głosie dźwięczał gniew.

- Cóż, musimy jakoś uczcić tę wieść, od której z pewnością świat zadrży w posadach - dodał ironicznie. - Oczywiście, powiadomicie wszystkich o waszym szczęściu?

Jeśli przypuszczał, że Viola i Rayburn nie ośmielą się ogłosić publicznie zaręczyn, głęboko się pomylił.

- Prędzej czy później, i tak wszyscy muszą się dowiedzieć - odparował Lyle żartobliwie. - Więc dlaczegóż by nie teraz?

W jego głosie brzmiało wyzwanie. Gospodarz z kwaśnym uśmiechem poprowadził ich na środek salonu, skąd zawołał głośno w stronę brydżystów:

- Uwaga, uwaga! Przyjaciele! Waśnie dowiedziałem się, iż ta oto para moich uroczych młodych gości, Viola i Rayburn, postanowiła puścić się we wspólnej łodzi na wzburzone morze małżeństwa. Jestem pewien, że zechcecie im pogratulować.

Przy wszystkich stolikach, z wyjątkiem tego, gdzie siedziała lady Brandon, która już zdążyła podzielić się nowiną, rozległy się okrzyki zdumienia.

Porzucono rozgrywki. Goście kolejno podchodzili, by uściskać rękę Rayburnowi i ucałować Violę. Służba wniosła szampana. Wzniesiono toast za szczęście narzeczonych. Gdy pierwsze podniecenie minęło, towarzystwo wróciło do stolików.

Rayburn poprowadził wówczas Violę do kanapy w drugim końcu salonu. Mogli tam pogawędzić na osobności. Kiedy

dziewczyna usiadła obok niego, zauważył bladość jej policzków i pałający blask oczu.

- Co teraz będzie? - zapytała zdenerwowana.

- Nic - odparł. - W poniedziałek wrócimy do Londynu i bardzo niejasno będziemy napomykali znajomym o dacie ślubu. Po sześciu miesiącach ludzie przestaną się nami interesować. Wtedy wymyślimy jakiś stosowny powód dla zmiany planów.

Viola milczała. Smukła, ze skromnie złożonymi na kolanach rękami, wyglądała ślicznie i bardzo młodo. Lyle przyglądał jej się z satysfakcją. Cieszył się, że uratował ją przed lordem.

- A co teraz panią trapi? - zapytał trochę zdziwiony jej smutną miną.

- Obawiam się, że macocha zmusi mnie do brania udziału w akcjach, które mogą zniszczyć pańską karierę.

- Więc myśli pani o mnie!

- Och, naturalnie! Jak mogłabym nie troszczyć się o człowieka, który okazał się tak wspaniałomyślny?!

- Ma pani rację. Porozmawiam z lady Brandon. Myślę, że dobrze się stanie, jeśli damy jej jasno do zrozumienia, że jeśli zapłacze się pani w jakiś skandal, będę zmuszony zerwać zaręczyny.

- Już samo moje nazwisko może zaszkodzić.

- Do tej pory nie doszło jeszcze do żadnej kompromitacji. Mówiąc szczerze, jestem przygotowany na pewne ryzyko.

- Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym zaszkodziła pana karierze.

- Jest pani słodka - rzekł Rayburn wzruszonym głosem. - Przysięgam, że potrafię zadbać o swoje interesy. Chciałbym tylko, aby była pani szczęśliwa i wolna od trosk.

Jej uśmiech przywiódł mu na myśl słońce przedzierające się przez gęste chmury.



- Jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, że poznaliśmy się. Nie mogę wprost uwierzyć, że obcy człowiek może być dla mnie tak dobry.

- Myślę, że znalazłoby się wielu mężczyzn, którzy czuliby się zaszczytzeni pomagając pani - zauważył Rayburn nieco szorstko. Jego słowa przypomniały Violi o niedawnych awansach Croxdale'a

- Pan jest inny - powiedziała. - Niczego się nie boję, gdy jesteśmy razem.

- Mam nadzieję, że zasłużyłem na tak pochlebny opinię. Czuję się jak książkę z bajki ratujący przed potworem niewinną dziewczynę.

- Bo to prawda. Przez cały czas dosłownie umierałam ze strachu. - Opuściła głowę i dodała cicho:

- Żałowałam nawet, że tamta bomba nie wybuchła i nie zabiła mnie.

- Nie wolno tak mówić. Słyszysz pani? Proszę nie powtarzać takich bzdur. Uratowałam panią, Violu, niech policzę - trzy razy. A jeśli zajdzie taka potrzeba, to zrobię to po raz czwarty i piąty!

- Jest pan cudowny!

Jej głos zadrżał lekko i Lyle poczuł, że nie potrafi oderwać wzroku od ślicznych fiołkowych oczu. Miał ochotę wziąć dziewczynę w ramiona, ale tylko uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Pomogłem pani najlepiej jak umiałem, Violu, lecz równie wiele zawdzięczam tobie.

Viola westchnęła.

- Czy ta piękna dama, z którą był pan w Roehampton House, nie zdenerwuje się na wieść o naszych zaręczynach?

No tak, pomyślał Rayburn, to pytanie musiało wreszcie paść. Viola ze swoją spostrzegawczością domyśliła się, że pomoc, za którą jej dziękował, wiąże się jakoś z Eloise Davenport. Starał się więc ostrożnie dobierać słowa.

- Myślę, że nieco ją to zaskoczy. Podobnie jak w ogóle wszystkich naszych znajomych, ale nie kłopotcz się tym.

- Sądzi pan, że nie powinnam o niej mówić? - zapytała Viola z naiwnością dziecka.

- O nie, uważam, że możemy szczerze rozmawiać na każdy temat. Jednak jeśli mężczyzna był niegdyś blisko z, jak to nazwałaś, „piękną damą”, to mądrzej będzie ze strony przyszłej małżonki nie zadawać na ten temat pytań.

- Rozumiem. Proszę mi zawsze mówić, kiedy popełniam jakiś błąd lub niezręczność. Chcę się zachowywać tak, jak pan sobie życzy.

Lyle uśmiechnął się do niej serdecznie. Podobała mu się jej szczerłość i oryginalny sposób wygłaszania sądów, nietypowy dla tak młodej osoby. Doszedł do wniosku, że Viola jest inteligentniejsza i wrażliwsza niż większość kobiet z jego otoczenia, które po krótkim okresie fascynacji okazywały się banalne i nudne. Wszystko, co robiły czy mówiły było bowiem łatwe do przewidzenia.

Tymczasem lord wstał od stolika brydżowego i podszedł do zatopionej w rozmowie pary.

- Teraz twoja kolej, Lyle - oświadczył. - Mam nadzieję, że szczęście ci dopisze.

- Moje przezwisko już i tak się dziś potwierdziło - odpowiedział prowokacyjnie Rayburn Lyle. Wiedział, że słowa te zdenerwują gospodarza, odczuł więc prawdziwą satysfakcję, że dopiekł mu tak solidnie.

Croxdale rozsiadł się na sofie obok Violi, ale jego moc należała już do przeszłości. Po raz pierwszy dziewczyna spojrzała na niego bez lęku. Hardo uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytał.

- Bardzo!

- Nie miałem pojęcia, że tak dobrze znasz Rayburna Lyle'a. Nie powitałaś go dziś zbyt wylewnie.

Viola znalazła odpowiedź bez najmniejszej trudności.

- Wówczas jeszcze nie wyznałam macosze moich uczuć.

Lord nad podziw łatwo zaakceptował wyjaśnienie. Po chwili namysłu zagadnął znowu:

- Muszę ci powiedzieć, że bardzo jestem rozczarowany i niezadowolony z powodu twojej decyzji.

- Nie bardzo pana rozumiem...

- Sądziłem, że tamtego wieczoru domyśliłaś się uczuć, którymi cię darzę. To miłość od pierwszego wejrzenia, Violu. Miałem zamiar dzisiaj oświadczyć ci się.

- Och, tak mi przykro! Bezwiednie zraniłam pana.

- To gorzej niż rana. Czuję się odrzucony, poniżony, okradziony z tego, co miało do mnie należeć.

Pasja w jego głosie przeraziła Violę. Po chwili jednak dziewczyna uprzytomniła sobie, że przecież człowiek ten nie może jej nic zrobić. Rayburn ją osłoni.

- Nie mogę panu nic więcej powiedzieć ponad to, że jest mi przykro - rzekła już uspokojona.

- Na tyle przykro, żeby zmienić decyzję? Mogę ci tak wiele ofiarować, Violu. O wiele więcej niż Rayburn, mimo jego bogactwa i młodości.

Zawahał się na moment i dodał:

- Jest takie stare przysłowie: lepiej być ukochaną w domu starego, niż niewolnicą w domu młodego. Gdybyś została moją żoną, uczyniłbym cię szczęśliwą.

Viola z trudem panowała nad sobą. Wreszcie przemogła się i odważnie powiedziała:

- Jestem zaszczycona pana propozycją, ale sądzę, że jako narzeczona pana Lyle'a nie powinnam słuchać podobnych wyznań.

- Do diabła z nim! - uniósł się lord. - Ubiegł mnie, a ja nie mam zwyczaju przegrywać. Dostanę cię, Violu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś zmieniła zamiary i zerwała z Lyle'em!

Viola wstała z godnością.

- Proszę wybaczyć, jestem zmęczona i pragnę już się położyć.

- Och tak, naturalnie. Ale następnym razem tak łatwo mi nie uciekniesz.

Dziewczyna skierowała się ku drzwiom, które gospodarz uprzejmie przed nią otworzył.

Wychodząc zerknęła w stronę grającego w karty Rayburna i pomachała mu. Lord towarzyszył jej uparcie. Nie bała się jednak, gdyż wiedziała, że w holu kręcić się będzie służba. Mimo że w Croxdale Park zainstalowano elektryczne oświetlenie, na stoliku u podnóża schodów, zgodnie z odwieczną tradycją, czekały na gości lichtarze ze świecami. Lokaj, kłaniając się, podał jeden z nich Violi.

- Dobranoc, milordzie. Raz jeszcze dziękuję za zaproszenie do pańskiego pięknego domu.

- Dobranoc, Violu. - W obecności służby Croxdale nie mógł powiedzieć nic więcej. Schylił się i pocałował dziewczynę w rękę. Dotknięcie jego ust napełniło ją odrazą, lecz już nie lękiem.

Viola powoli szła na górę. Nie oglądała się pewna, że lord nie spuszcza z niej wzroku.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, starannie przekreśliła klucz w zamku.

Niedzielne gazety doniosły, że lord Davenport zmarł nagle w Paryżu. Rayburn doskonale zdawał sobie sprawę, że niektórzy obserwowali go, zastanawiając się, czy wiedział o tragedii, zanim przybył do Croxdale Park. A jeśli tak, nie mogli zrozumieć, dlaczego zareczył się z Violą Brandon.

Kilka pań usiłowało wciągnąć Lyle'a w rozmowę, by wysondować jego reakcję.

- Eloise ciężko przeżyje tę stratę - mówiły. - George nie był krępującym mężem. Szczerze podziwiał jej urodę i uprzejmie usuwał się z domu, kiedy zachodziła taka potrzeba.

- Myślę, że lady Davenport kochała męża o wiele bardziej, niż wiele osób sądzi - dodał Rayburn Lyle oschle.

Odpowiedź była tak zaskakująca, że towarzystwo zaczęło rozważać, czy przypadkiem Eloise nie odtrąciła Lyle'a, co mogłoby być powodem zaręczyn z panną Brandon.

Jednak doświadczone w sztuce flirtu damy nie dały się zwieść tak łatwo. Doskonale wiedziały, że żadna kobieta nie byłaby taka głupia, żeby porzucić Lyle'a, a już na pewno nie dla własnego męża.

- Czy lady Davenport wie o pańskich zaręczynach? - nie owijając w bawełnę, zapytała ładna blondynka.

Rayburn nie miał zamiaru informować o tym nikogo, ale poprzedniego wieczoru napisał do Eloise. Dziękował za przyjemność, którą czerpał z ich przyjaźni, i wyrażał nadzieję, że Eloise będzie życzyć mu szczęścia. „Czuję, że nadeszła pora, aby się ustatkować. Pragnę mieć żonę, która wesprze mnie w karierze politycznej”, pisał. „Viola z pewnością ofiaruje mi swą pomoc zarówno w tej, jak i w każdej innej dziedzinie.”

Eloise mogła odczytać ten list dowolnie, albowiem nie zawierał nic poza oczywistą wiadomością o zerwaniu.

- W poniedziałek dowiedzą się wszyscy - odparł wścibskiej blondynce. - W rubrykach towarzyskich Timesa i Postu ukaże się zawiadomienie.

- Być może złamie ono serce Eloise bardziej niż śmierć George'a - złośliwie podsumowała jego rozmówczynie.

- Pokazuje pani kocie pazurki?

- Myślę, że większość kobiet ich używa - odparła zuchwale. - Kłopot polega na tym, że jest pan zbyt atrakcyjny, aby nie powodować zamętu wśród przedstawicielek płci przeciwnej.

- Pani nazbyt mi pochlebia. Takie komplementy zadowolają moją próżność, ale źle wpływają na moralność.

- Po ślubie będzie pan musiał zachowywać się nieco oględniej - przestrzegła blondynka - przynajmniej przez jakiś czas!

W jej słowach kryło się wyraźne zaproszenie. Rayburn skonstatował oczywisty fakt, że małżeństwo nie jest uważane za szczególne ograniczenie dla mężczyzny. Z kobietami było nieco inaczej. Oczekiwano, że będą prowadziły się poprawnie przynajmniej przez dziesięć lat i dopiero po urodzeniu kilkorga dzieci wolno im było korzystać z większej swobody. Oczywiście, o ile ich romanse nie prowadziły do skandalu. Po raz pierwszy przyszło Rayburnowi na myśl, że ten niepisany kodeks towarzyski opiera się na barbarzyństwie i zakłamaniu. Ileż tragedii kryło się pod powierzchnią beztróskiego życia! Jak Viola upora się ze światem nieustannych romansów i jawnej niewierności, ona taka prawa? Cynicznie powiedział sobie: dorośnie z wiekiem. I naraz poczuł, że przykro byłoby mu obserwować taką zmianę. Miał nadzieję, że nie przyjdzie mu ujrzeć Violi polującej na mężczyzn.

Rayburn obserwował Violę i widział jak bardzo różni się ona od innych kobiet w Croxdale Park. Jaśniała białym czystym blaskiem, podczas gdy tamte migotały fałszywymi barwami tęczy. Było w tej dziewczynie coś uduchowionego, coś czego nie zauważył dotąd u żadnej kobiety. Inteligentniejsza i bardziej odczytana niż sądził w pierwszej chwili, korzystnie wyróżniała się na tle towarzystwa. Lyle doszedł do wniosku, że to zapewne wpływ światłego, wykształconego ojca.

Jako narzeczeni mieli teraz sporo czasu dla siebie i Rayburn chętnie z tej okazji korzystał. Kiedy inni grali w krokieta, on spacerował z Violą po różanych ogrodach, pływał łódką po jeziorze w cieniu płaczących wierzb. Godzinami potrafili gawędzić, znajdując w tym oboje szczególną przyjemność.

Viola powtórzyła Lyle'owi ostatnią rozmowę z lordem.

- Macocha miała rację. On chciał mi się oświadczyć. Gdyby nie pan, pewnie musiałabym się zgodzić.

- Proszę nie obawiać się jego pogroźek. Nic już nie może pani zrobić.

- Jest pan pewny?

- Całkowicie. Nie zaryzykuje ze mną wojny. Uśmiechnął się i dodał:

- I za to jestem losowi wdzięczy. Gdybyśmy żyli pięćdziesiąt lat temu, musiałbym wyzwać go na pojedynek!

- To byłoby okropne. Przecież on mógłby pana zabić!

Ta wizja tak przeraziła Violę, iż z trudem dotarła do dziewczyny pogodna odpowiedź Rayburna:

- Cóż za wątpliwy komplement! Zgodnie z regułami romantycznej powieści to ja oczywiście byłbym zwycięzcą! Ja bym go zabił.

Przez cały czas jednak nie opuszczała Violi świadomość, że przecież prędzej czy później straci tego najwspanialszego z ludzi. Nagłe wkroczył w jej życie i pewnie równie niespodziewanie odejdzie. Ta myśl dręczyła ją nieustannie. Dziewczyna wiedziała, że podczas tego weekendu przebywa z Rayburnem o wiele więcej niż będzie miała okazję kiedykolwiek później. Niedługo wrócą do Londynu i Rayburn będzie całymi dniami zajęty w Izbie Gmin. Opowiadał jej, że ma zaplanowanych mnóstwo spotkań w przyszłym tygodniu. Pewnie odwiedzi ją czasem na Curzon Street, bo ona na pewno nie będzie mogła złożyć mu wizyty bez przyzwoitki.

Będziemy jednak, rozmyślała dalej Viola, zapraszani jako narzeczeni na spotkania towarzyskie. Tylko, że i wówczas nie będzie szansy na rozmowę tete - a - tete.

Po obiedzie Viola zauważyła z ulgą, iż goście kierują się do stolików brydżowych. Miała nadzieję, że teraz nadarzy się okazja do pogawędki na osobności.

Wczoraj sześćdziesięcioro zaproszonych gości miało zaszczyt zasiąść do obiadu w towarzystwie króla, który przybył właśnie do Croxdale Park. Jego wysokość lubił brydża, wszyscy więc poszli za jego przykładem.

Viola umiała grać w brydża, chociaż nie przepadała za tą grą. Tym razem nie wskazano jej miejsca przy stoliku Rayburna. Z pewnością było to polecenie lorda.

Chcę grać z nim, myślała. Może zaproponuje mi pikietę jak wczoraj.

Z tęsknotą spojrzała na Lyle'a, który wchodził właśnie do salonu. Natychmiast zbliżył się do niej i zapytał:

- Na co ma pani ochotę?

- Chciałabym porozmawiać. Jeśli, oczywiście, nie ma pan ochoty zagrać w karty.

- Z rozkoszą spełnię pani życzenie - odparł.

Dostrzegł błysk w oczach dziewczyny i nie byłby mężczyzną, gdyby nie pochlebił mu wyraz jej twarzy. Na moment zaniepokoiła go myśl, że gdyby Viola zakochała się, sytuacja znacznie by się skomplikowała. Zaraz jednak pocieszył się, że nie warto się martwić na zapas.

- Chodźmy obejrzyć zbiory Croxdale'a - zaproponował.

- A możemy?

- Nawet się nimi nie zainteresowałaś, a to bardzo dobre obrazy. Kolekcja lorda jest wysoko ceniona.

- Więc obejrzymy ją. Będzie pan moim przewodnikiem? Ojciec, co prawda, starał się uczyć mnie odbioru sztuki, ale obawiam się, że moja wiedza w tej dziedzinie jest znikoma.



Wstała, a Rayburn podał jej usłużnie ramię. Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nimi gospodarz.

- Lyle, moja siostra pragnie, byś z nią zagrał - oświadczył.  
- Jak wiesz, jest najlepszą brydżystką w rodzinie. Uważa cię też za wybitnego gracza.

- Lady Emily jest nadzwyczaj uprzejma - rzekł Rayburn. - Proszę przekazać jej moje przeprosiny, gdyż obiecałem już pani Violi, że pokażę jej galerię.

- Och, zastąpię cię z przyjemnością. Jestem w końcu gospodarzem. To wielkie przeoczenie z mojej strony, że nie oprowadziłem dotąd miłych gości po pałacu.

- Więc obejrzymy twoje zbiory razem. Jako wielbiciel sztuki z rozkoszą obejrzę raz jeszcze twoją wybitną kolekcję, o której opowiedziałem już nieco pani Brandon.

Lord uniósł brwi.

- To chyba niezbyt eleganckie zostawić moją siostrę bez partnera?

Rayburn zrozumiał, że przyparto go do muru. Niewiele mógł w tej sytuacji zrobić. Miał jeszcze nikłą nadzieję, że Viola zrezygnuje ze zwiedzania, tłumacząc się zmęczeniem. Lecz kiedy odszedł, dziewczyna nie potrafiła odmówić naleganiom gospodarza.

Croxdale ujął ją pod rękę i poprowadził przez hol do salonu, gdzie poprzedniego wieczoru król grał w brydża.

- Popatrz, tu zgromadziłem Holendrów. Mam nawet Cuypa i van der Heydena. Jestem pewien, że płótno, które udało mi się kupić w zeszłym tygodniu, jest jednym z najlepszych van der Heydenów.

Mówiąc to, zamknął drzwi do salonu. Viola uważnie przyglądała się obrazom. Były dobrze oświetlone.

- Podoba mi się malarstwo holenderskie - stwierdziła po chwili.

- A mnie ty się podobasz - odparł. - Jesteś piękniejsza od jakiegokolwiek dzieła sztuki i nadal pragnę, jak niczego dotąd w życiu nie pragnąłem, zdobyć cię za wszelką cenę.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan tego powtarzał.

- Nie możesz mi zabronić rozmowy o tym, co czuję. Mam wrażenie, jakby skradziono mi skarb, coś tak drogiego, że aż bezcennego.

Zbliżył się do Violi, która nerwowo drgnęła. Usiłowała patrzeć na obrazy, ale nie potrafiła się skupić. Serce biło jej ze strachu jak szalone.

- Chcę ci pokazać jeszcze kilka płócien. Powinny ci się spodobać - powiedział lord.

Nieco spokojniejsza, gdyż odsunął się od niej, podążyła za lordem do holu.

Salonik, do którego wprowadził Violę gospodarz utrzymany był w barwie srebrno - błękitnej, a ozdobiło go malarstwo francuskie. Na widok pięknych płócien Bouchera i Fragonarda Viola odczuła żal, że nie ma szansy podziwiać ich wspólnie z Rayburnem.

Zamyśliła się, a kiedy lord zatrzasnął drzwi, było już za późno na odwrót. Zrozumiała, iż nie powinna była oddalać się od głównego salonu. W pokoju, który oglądali poprzednio, tylko drzwi dzieliły ją od Rayburna. Gdyby zaczęła krzyczeć, usłyszałby ją. Natomiast rzadko odwiedzany błękitny salonik leżał na uboczu i nikomu nie przyszłoby do głowy szukać tam panny Brandon.

Viola zdenerwowała się. Cofnęła się w głąb pokoju, aby nie być zbyt blisko lorda.

- Jesteś cudowniejsza od tych obrazów - mówił ten nie zrażony.

Ton jego głosu spowodował, że w gardle Violi urosła kamienna kula.

- Uważam, że powinniśmy już wracać. Rayburn chyba nie chciałby...

- A cóż mnie obchodzi Rayburn! - przerwał jej gwałtownie. - Tylko ty mnie obchodzisz! Słuchaj, Violu...

Dziewczyna stała jak sparaliżowana. Nie potrafiła wydusić słowa, ani nawet odwrócić głowy.

- Spójrz na mnie - rozkazał lord. - Chcę, abys na mnie popatrzyła.

Viola pomyślała, że dziecinadą jest bać się czyjegoś wzroku. Uniosła powieki i trwożnie spojrzała mężczyźnie w oczy. Jednak na widok wyrazu jego twarzy zabrakło jej tchu.

- Jesteś moja! - syknął. - Zawsze byłaś moja. Rayburn wcale nie jest tobą zainteresowany. Użył cię, aby uwolnić się od Eloise Davenport i nie być zmuszonym do małżeństwa z nią teraz, gdy owdowiała.

Mówił ostro, brutalnie. Viola patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Dlatego właśnie Rayburn poprosił cię o rękę. Powinnaś znać prawdę. Zrobił to, by nie wywiązać się z obietnic danych kobiecie, z którą od sześciu miesięcy żył, jakbyś ty to powiedziała, w grzechu. Nic go naprawdę nie obchodzisz. On cię nie kocha, a ja za tobą szaleję.

Przyciągnął Violę do siebie.

- Wyjdź za mnie, a uczynię cię szczęśliwą. Nauczę cię miłości lepiej niż Lyle.

Ostatnie słowa niemal wyrzucił z siebie namiętnie i z całej siły oplótł dziewczynę ramionami, próbując pocałować ją w usta.

Przez moment Viola zamarła jak zahipnotyzowana jego słowami, lecz pod wpływem dotyku budzących obrzydzenie warg ocknęła się i poczęła walczyć. Konwulsyjnie szarpała się, by uniknąć pocałunków. Odpychała obiema dłońmi napierające ciało, aż w końcu poczuła słabość i bezradność

wobec jego siły. Instynkt podpowiadał jej, że lord wkrótce straci panowanie nad sobą i użyje swej fizycznej przewagi, by Viola uległa jego woli.

To tylko kwestia sekund, myślała zrozpaczona. Zadrzała z obrzydzenia i krzyknęła, ale jej głos zabrzmiał cicho i wątko. Wiedziała, że jest bezsilna i to też przemieniło lorda w bestię.

Próby oporu zdawały się jeszcze bardziej zachęcać Croxdale'a, który okrywał pocałunkami policzki i szyję Violi. Dziewczyna straciła już wszelką nadzieję, gdy nagle otworzyły się drzwi i padło gniewne pytanie:

- Co się tu dzieje?!

To był Rayburn. Uratował ją po raz kolejny. Poczowała, że lord wypuszcza ją z objęć. Uwolniła się i podbiegła do Rayburna. Nie mogła mówić, więc ciężko oddychając, zacisnęła ręce na połach wieczorowego fraka i wtuliła twarz w śnieżnobiały gors koszuli.

Rayburn otoczył Violę ramieniem. Milczał i patrzył na lorda, który strzepywał jakiś wyimaginowany pyłek z ubrania. Panowała wprost nieznośna cisza. W końcu gospodarz odezwał się:

- Nie ma chyba sensu robić scen.

- Cóż - odparł Rayburn Lyle - wywołałoby to mnóstwo komentarzy, gdybyśmy, Viola i ja, natychmiast opuścili Croxdale Park. Wyjedziemy więc wraz ze wszystkimi jutro rano. Mam jednak nadzieję, że przedtem już nie będziemy musieli cię oglądać.

Usta lorda zacisnęły się w wąską kreskę. W tej sytuacji nie mógł nic odpowiedzieć na podobny afront. Odwrócił się więc i, trzaskając drzwiami, wyszedł z pokoju.

Viola nadal kurczowo tuliła się do Lyle'a. Czuł dreszcze wstrząsające jej ciałem, kruchym i delikatnym pod szyfonem wieczorowej sukni.

- Już wszystko w porządku - rzekł łagodnie. - Myślałem, że będzie pani miała dość rozsądku, by nie zostać z nim sam na sam.

- Nie przypuszczałam, że może mnie w taki sposób potraktować.

Mówiła cichutko i powoli. Ledwie ją dosłyszał.

- Proszę już się nie martwić. Nie zobaczy go pani więcej.

Viola uspokoiła się trochę, ale wyraźnie coś jeszcze ją gnębiło. W końcu, nie patrząc Lyle'owi w oczy, odezwała się:

- On mówił o panu straszne rzeczy.

- A co takiego? - Rayburn domyślił się odpowiedzi, zanim usłyszał ją z ust Violi.

- Twierdził, że pan wykorzystał mnie, aby uciec od zobowiązań wobec lady Davenport.

- Jeżeli nawet tak, to lord Croxdale nie ma nic na ten temat do powiedzenia. Proszę usiąść, Violu, chcę z panią porozmawiać.

Poprowadził ją do najbliższej sofy. Viola była bardzo blada, a na jej twarzy malował się tragiczny wyraz.

- Więc pan naprawdę zaręczył się ze mną nie tylko po to, aby mi pomóc? A przecież lady Davenport jest taka piękna. Myślałam, że pan ją kocha.

Utkwiła smutne oczy w twarzy Rayburna. Wyczuwał, że w tej chwili myśli o nim, a nie o sobie i zrozumiał, że należy jej się prawda.

- Jeżeli lady Davenport kocha mnie, w co szczerze mówiąc wątpię, to ja bynajmniej nie odwzajemniam jej afektów i z pewnością w żadnej sytuacji bym jej nie poślubił. Mówiłem już pani, Violu, że pomożemy sobie nawzajem. Pamięta pani? I prosiłem o zaufanie.

- Wierzę panu całkowicie i absolutnie, ale nie chcę, żeby pan ucierpiał z powodu wyświadczonej mi przysługi.

- Ale ja się wcale nie poświęcam! I naprawdę uważam, że zrobiła pani dla mnie więcej niż ja dla pani.

- Naprawdę pan tak myśli?

- Naprawdę!

Viola odetchnęła z ulgą. Po chwili zapytała lękliwie:

- Nie pozwoli mu pan... więcej... zbliżyć się do mnie?

- Proponuję, aby udała się pani natychmiast do swojej sypialni. I proszę dokładnie zamknąć drzwi. Wyjeżdżamy jutro po śniadaniu jak tylko się da najwcześniej. Zabiorę panią moim automobilem. Nie powinno dojść już więcej do żadnych dramatycznych scen.

- Zabierze mnie pan nawet, jeśli macocha każe mi wracać ze sobą?

- Sądzę, że lady Brandon uzna mojego szofera i lokaja za godne zaufania przyzwoitki - zażartował Lyle. - Poza tym, narzeczeni mają pewne przywileje.

- A zatem... dziękuję bardzo.

Viola machinalnie dotknęła policzka, jakby pragnęła zetrzeć ślad pocałunków Croxdale'a.

Rayburn, odgadując jej myśli, powiedział:

- Nie trzeba się przejmować. Wkrótce pani zapomni.

- To było straszne i obrzydliwe. Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby pan mu nie przeszkodził.

- Po raz kolejny cię wyratowałem! - uśmiechnął się Lyle. Wstał i pomógł Violi wstać z sofy.

- Obiecuję, że dziś w nocy nie będzie się pani musiała bać!

- Jestem panu wdzięczna, taka wdzięczna - szepnęła Viola.

Rayburn pomyślał, że nie spotkał dotąd bardziej uroczej kobiety.

- Chciałbym coś pani zaproponować, Violu.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

- Myślę, że możemy czerpać dużo przyjemności z naszego narzeczeństwa, spędzając wspólnie czas. I to nie tylko po to, by udawać przed twoją macochą czy lordem.

Czekał aż znajomy błysk pojawi się w jej oczach.

- Nie rozumiem. Sądziłam, że po powrocie do Londynu nie będzie pan sobie życzył spotykać się ze mną.

- Ależ bardzo chcę panią widywać i znajdziemy na to mnóstwo czasu. Czy to dobry pomysł?

- Cudowny! Dla mnie - odrzekła szczerze.

- Będę się panią opiekował i ochraniał. Viola nerwowo zerknęła w stronę drzwi, jakby obawiała się, że ukaże się w nich Croxdale. Rayburn bez trudu odgadł jej obawy.

- Wątpię, by on jeszcze odważył się panią napastować. Wie, że wyciągnąłbym z tego konsekwencje. Mógłbym na przykład rozgłosić, iż usiłuje uwieść moją narzeczoną.

Zacisnął na chwilę usta, po czym dodał:

- A niech to! Powinienem był po prostu dać mu w zęby! Ale to przecież starszy człowiek, a ja nie cierpię takich scen.

- Ależ proszę, niech pan mu się nie naraża! On jest bardzo ustosunkowany, mógłby panu zaszkodzić!

- Mało prawdopodobne - odparł Lyle. - Zresztą zachowaliśmy się w sposób cywilizowany, mimo że korciło mnie inne rozwiązanie.

Viola westchnęła.

- Tak mi przykro. Jeszcze raz przepraszam za uwikłanie pana w taką sytuację.

- Zdaje się, że masz prawdziwy talent do kłopotów - zażartował Rayburn. Jednak na widok wyrazu szczerzego zakłopotania w jej oczach dodał miękko:

- Proszę się nie martwić. Uczę się czerpać przyjemność z niecodziennych wydarzeń. Moje życie było dotąd nadmiernie spokojne.

Dotknął dłonią czoła.

- Najpierw bomba, potem policja, teraz czarny charakter, z którego szponów panią wyrwałem. Ciekaw jestem, co dalej nastąpi.

- Mogę się jedynie modlić, żeby nie spowodować więcej zamieszania. Och, proszę mi uwierzyć... Jest mi niezmiernie wstyd z powodu tych wszystkich wydarzeń. Całą noc dziękowałam Bogu, że pan jest tu ze mną.

Szczery ton jej głosu stał żartobliwy uśmiech z ust Lyle'a. Młody człowiek spojrzał uważnie w fiołkowe oczy.

- Dziękowała pani Bogu za moją obecność?

- Tak!

- Tak - powtórzył. - Dobrze, dosyć już przeżyć jak na jeden wieczór. Pora do łóżka, Violu, i proszę śnić o tym, co będziemy robić w Londynie. Nie wolno pani rozmyślać o prawach dla kobiet, ani o zalotach Croxdale'a. Niech pani będzie niczym fiołek chroniący się wśród zieleni listków.

- Postaram się - obiecała. - I schronię się pod moimi listkami. Pan jest takim moim liściem. Przynoszącym otuchę i bezpieczeństwo, gdy tego najbardziej potrzebuję.

- Mam nadzieję, że to prawda - uśmiechnął się Rayburn.

Postanowił wrócić jeszcze na chwilę do salonu. Nie miał co prawda zamiaru kontynuować brydża. Chciał jedynie dla zachowania pozorów pokazać się reszcie towarzystwa i zaraz odejść do swojego pokoju. Przywiózł ze sobą plik materiałów, których nie zdążył dotąd przejrzeć. Wolał więc posiedzieć nad nimi w zaciszu sypialni niż spędzać czas z lordem i jego gośćmi.

W holu lokaj wskazał Rayburnowi i Violi stolik z lichtarzami. Dziewczyna wybrała jedną świecę dla siebie, drugą zaś podała Rayburnowi. Gdy poczuł drobne palce w swojej dłoni, odniósł wrażenie, że Viola bała się zostać sama.

- Dobranoc, Violu - rzekł. - Wyjedziemy o dziewiątej rano.



- O dziewiątej - powtórzyła, jakby myśląc o czymś innym.

Spojrzała mu głęboko w oczy, a jemu wydało się, że pragnęła wypowiedzieć zupełnie inne słowa.

Uścisnął jej dłoń i odszedł. Viola ruszyła na górę.

Gdy kładła się spać, myślała tylko o tym, że kocha go całym sercem.

## Rozdział 6

Limuzyna zatrzymała się przed domem na Curzon Street. Viola wysiadła.

- Proszę zaczekać, Carstairs - rzekła do szofera. - Można zgasić silnik.

- Tak jest, panienko - odparł szofer i służbiście musnął palcami daszek czapki. Viola wbiegła na schody. Uśmiechała się czekając aż lokaj otworzy drzwi. Miała wrażenie, że słońce jest bardziej złote, a świat piękniejszy niż dawniej.

Czuła się tak za każdym razem, kiedy widziała się z Rayburnem. Jej miłość nieustannie wzmagala się. Dzisiaj po wspólnym lunchu, który zjedli u niego w domu, myślała, że to niemożliwe, aby mógł istnieć mężczyzna przystojniejszy i mądrzejszy od niego.

Viola wiedziała, że Lyle jej nie kocha, lecz była szczęśliwa, iż sama może darzyć go tak silnym uczuciem. Po weekendzie w Croxdale Park bała się, że nie będą się widywać zbyt często, a tymczasem spotykali się w tym tygodniu już po raz trzeci. Zaprowadził ją do jednej z ciotek i chociaż wizyta była męcząca, Viola nie nudziła się, gdyż Rayburn jej towarzyszył. Innego znów wieczoru udali się razem na obiad do znajomego członka parlamentu. Dyskutowała tam na niebłahe tematy, a późniejsza podróż z Rayburnem do domu stanowiła dla Violi jeszcze jedno poruszające przeżycie.

Dzisiaj Lyle musiał bardzo się spieszyć na debatę dotyczącą polityki zagranicznej. W ostatniej chwili jednak, kiedy się rozstawali zapytał:

- Wyjeżdża pani na weekend? Potrząsnęła przecząco głową.

- Więc może gdzieś się razem wybierzemy? Serce omal nie pękło jej z radości. Więc on chce się z nią widywać! Z trudem powstrzymała się, by zbyt serdecznie nie uściskać jego ręki. Kocham go, kocham go, powtarzała sobie w duchu.

Viola weszła do gabinetu ojca i tam przystanąła, rozmyślając o Rayburnie. Zmuszała się, aby nie poddać się marzeniom, ani nie zastanawiać się, co się stanie, gdy Lyle postanowi zakończyć komedię z narzeczeństwem.

Jedyne co teraz miało znaczenie to fakt, że mogła go czasem widywać, słyszeć głęboki głos zwracający się do niej. Świadomość, że on ją chroni uczyniła życie cudownym. Wszystko się jakby zmieniło od momentu, gdy ogłoszono ich zaręczyny. Macocha nie zmuszała już Violi do udziału w demonstracjach. Dziewczyna obawiała się co prawda, że lady Brandon znecierpliwi wkrótce przedłużający się okres narzeczeństwa, ale na razie swoboda, jaką cieszyła się obecnie zdawała się Violi bajką.

To dzięki niemu, kocham go, powtarzała sobie. Podeszła do okna, aby popatrzeć na słońce złocące liście krzewów w ponurym ogrodzie na tyłach domu. Gdybyśmy mogli zamieszkać razem na wsi, marzyła. Westchnęła głęboko. To niemożliwe. Wiedziała na pewno. Rayburn wyratował ją i siebie samego z nieznośnego położenia, lecz ona, Viola, nic dla niego nie znaczyła. Rozmyślała o otaczających go atrakcyjnych kobietach, wykształconych, błyszczących pięknościami wielkiego świata, prawdziwych damach.

W ciągu poprzedniego tygodnia Viola dowiedziała się wiele o swoim narzeczonym. Powtarzała się jedna opinia o jego osobie: Rayburn odnosi wszelkie możliwe sukcesy, kobiety za nim szaleją.

Oczywiście, informacji udzielano Violi taktownie i klucząc wokół tematu, ale w oczach znajomych Rayburna dziewczyna dostrzegała zaskoczenie.

Dochodziły do jej uszu urywki rozmów. Padały imiona rozmaitych sławnych piękności, dawnych przyjaciółek Lyle'a.

- Oczywiście, Rayburn zawsze był flirciarzem...

- Nie mogę zrozumieć, gdzie poznała pani Rayburna. Przecież on zawsze poruszał się w orbicie wpływów Marlborough House.

- Pamiętam, Rayburn flirtował wówczas z...

Viola wstrzymywała oddech, a w jej głowie kłębiły się nazwiska znanych piękności, których twarze знаła z ilustracji w tygodnikach. Nie potrafiła też zapomnieć urody fascynującej lady Davenport. Jakże mogła konkurować z takimi kobietami?

Stała tak długą chwilę nieruchoma i zamyślona, aż w końcu napomniała samą siebie surowo, że nagromadziło się dużo listów, na które trzeba dać odpowiedź. Pewnie gratulacje od koleżanek z pensji, które dowiedziały się z gazet o zaręczynach, od dalekich krewnych i dawnych przyjaciół matki.

Viola zdjęła kapelusz, spięła długie włosy w koronę i zasiadła za biurkiem ojca. Cały blat zavalony był korespondencją. Dziewczyna sięgnęła po pierwszą z brzegu kopertę, gdy otworzyły się drzwi i kamerdyner wniósł kolejny list na srebrnej tacy.

- Powóz lady Davenport stoi pod domem, panienko. Stangret powiedział, że ma poczekać na odpowiedź.

Viola chwyciła list. Spojrzała na podpis, zanim zaczęła czytać i ciężko westchnęła.

25 czerwca 1907

Belgrave Square Nr 24 Londyn

Droga panno Brandon,

Pani narzeczony i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Dlatego czekam niecierpliwie, aby Panią poznać. Będę zachwycona, jeżeli znajdzie Pani czas i zechce dzisiejszego popołudnia wypić ze mną herbatę.

Myślę, że mamy do omówienia wiele spraw, między innymi wybór odpowiedniego prezentu ślubnego. Żywię

nadzieję, że przyjmie Pani moje zaproszenie, ponieważ niebawem opuszczam Londyn.

Z poważaniem Eloise Davenport

Viola wpatrzyła się w energiczny płomienisty podpis, zajmujący prawie pół strony. Zastanawiała się gorączkowo, co powinna uczynić.

Nie miała ochoty widzieć się z lady Eloise. Uważała, że nie mają sobie nic do powiedzenia. W głębi serca bała się spotkania z tą piękną, drapieżną kobietą, której uwodzicielskie spojrzenie spod długich rzęs Viola tak dobrze pamiętała.

A może to zwykłe tchórzostwo? Trudno o uprzejmiejszy i bardziej przyjazny liścik niż zaproszenie lady Davenport. Czy Rayburn nie uznałby odmowy za afront wobec jednej ze swoich znajomych?

Gdybyż tylko mogła zasięgnąć jego rady. Wiedziała jednak, że Lyle zajęty jest teraz w Izbie Gmin, a więc dla świata i dla niej niedostępny. Czy ośmielę się odmówić? Przecież właściwie chciałam ją poznać, wahała się.

Kamerdyner czekał. Viola poczuła się znów słaba i bezradna.

- Proszę powiedzieć stangretowi lady Davenport, że będę gotowa za dziesięć minut.

- Dobrze, panienko.

Gdy kamerdyner wyszedł, Viola pobiegła do sypialni i przy pomocy pokojówki szybko zmieniła suknię. Jeżeli odmówię, przekonywała samą siebie, ośmieszę się w oczach Rayburna.

Nie zastanawiając się dłużej, zeszła do holu. W białej sukni przybranej bladoliliowymi wstążkami i bukiecikiem różowej wistarii, zdobiącym kapelusik wyglądała znacznie ładniej niż mogła przypuszczać. Ale oczy miała smutne i pełne niepokoju.

Kiedy powóz zajechał na Belgrave Square, Viola miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

Dom lady Davenport był ogromny. W holu unosił się zapach egzotycznych pachnideł, który przywiódł oszołomionej dziewczynie na myśl kadzidło.

Dwóch lokajów poprowadziło Violę szerokimi schodami na piętro, gdzie w salonie oczekiwała na gościa Eloise.

- Panna Brandon, milady! - zaanonsował kamerdyner.

Viola niepewnie ruszyła przed siebie. Z fotela podniosła się smukła postać w czerni.

Żałoba zwykle nie przysparza kobietom wdzięku, ale lady Davenport zdołała przy jej pomocy podkreślić jasną barwę cery o odcieniu kości słoniowej, głębię ciemnych oczu i czerń włosów.

Viola wpatrywała się w gospodynię ze szczerym zachwytem. Nie pojmowała, dlaczego Rayburn uciekał od tak powabnej istoty.

- Jakże mi miło, że pani przyszła, panno Brandon! - powitała ją lady Davenport, wyciągając białą dłoń, która zdawała się zbyt szczupła, by udźwignąć taką ilość pierścieni.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie - odparła nieśmiało Viola.

- Proszę usiąść.

Lady Davenport wskazała sofę obok swojego fotela. Viola przysiadła na samym brzegu. Czowała się jak uczennica egzaminowana przez wzbudzającą lęk przełożoną albo jak królik wpatrzony w węża.

Dziewczyna, z natury spostrzegawcza, dostrzegła do razu, że mimo uśmiechu oczy lady Davenport pełne są jadu, a uścisk dłoni nie ma w sobie nic z serdeczności.

- Wydaje mi się, że mamy ze sobą tyle wspólnego, iż bardzo istotne jest, abyśmy się lepiej poznały - kontynuowała z uśmiechem Eloise.

Tymczasem kamerdyner wniósł tacę z zastawą do herbaty.

Pełna wdzięku w każdym swym ruchu, lady Davenport rozpoczęła ceremonię szykowania podwieczorku. Przesypała porcję herbaty ze srebrnego pojemnika do imbryczka, nalała gorącej wody, by po chwili napełnić pięknie pachnącym naparem porcelanowe filiżanki.

Smakołyki, które wniesiono na stół, w innych okolicznościach wprawiłyby Violę w zachwyt. Kanapki, bułeczki, szparagi z ciemnym chlebem i pasta rybna z białym pieczywem, a wreszcie wspaniałe kruche ciasteczka - biszkopty z wisienką, śliwką, odrobiną bitej śmietany i lukru, wyglądały niezwykle smakowicie. Viola jednak nie potrafiła przełknąć ani kęsa.

- Rayburn i ja przyjaźnimy się od dawna - zagaiła lady Davenport, podając gościowi filiżankę. - Chyba wspominał pani, ile dla siebie znaczyliśmy.

- Tak... Oczywiście...

- Mam nadzieję, że będzie szczęśliwy - ciągnęła Eloise. - Domyślasz się zapewne, że to mężczyzna nad wyraz skomplikowany i trudny do rozszyfrowania.

Roześmiała się i mówiła dalej:

- Ale, który z nich nie jest taki? Wszyscy oni są niezrozumiali, skomplikowani, a jednak cudowni. Co byśmy bez nich zrobiły?

Było to wyraźnie pytanie retoryczne, więc Viola milczała.

- Chcę być z panią szczerą. Nie spodziewałam się, że Rayburn wybierze kogoś równie młodego i... niedoświadczonego. Mężczyznę trzeba wiecznie uwodzić, a Rayburn jest pod tym względem bardziej wymagający niż inni.

Mówiła ostrym głosem, lecz nagle zwróciła się do Violi łagodniej:

- Jednakże miłość wszystko zwycięża, prawda? Proszę mi szczerze powiedzieć, bo jestem ogromnie ciekawa, kiedy zakochaliście się w sobie?

Viola wstrzymała oddech. Teraz rozpoczął się prawdziwy egzamin, pomyślała.

- Myślę, że wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- A kiedy to było?

- O, jakiś czas temu... - odpowiedziała, ociągając się Viola.

- Dziwne, że Rayburn nic mi nie powiedział. Opowiadał o wielu sprawach - widywaliśmy się bardzo często - ale o pani nigdy nawet nie wspomniał. Wiedziałaam tylko, że zna starszą panią Brandon.

Po chwili ciszy lady Davenport zapytała:

- Czy ma pani zamiar kontynuować działalność na rzecz walki o prawa dla kobiet? Pani musi być mocno zaangażowana w działalność sufrażystek.

- To pasja mojej macochy, nie moja. Lady Davenport uniosła brwi.

- Tak? Ktoś mi powiedział, już nie pamiętam kto, że bywała pani na rozmaitych spotkaniach.

- Tak. To prawda - przytaknęła Viola - ale teraz nie sądzę, żeby Rayburn mi na to pozwolił.

- Oczywiście, że nie! Jeśli będzie pani obstawać przy tej działalności, zniszczy mu pani karierę.

- Rozumiem.

- Biedny Rayburn! Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej kłopotliwego dla podsekretarza stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych niż żona zamknięta w Holloway! Będzie pani musiała zachowywać się bardzo ostrożnie, inaczej spowoduje pani ogromne szkody.

- Tak, oczywiście.



- Zawsze słyszałam, że macocha pani jest osobą niezwykle zdecydowaną, żeby nie powiedzieć fanatyczką.

- Myślę, że ona rozumie, iż nie mogę jej teraz pomagać.

- Mam nadzieję! A może zaagituje pani Rayburna? Gdyby tak stał się liderem waszego ruchu! Jak wspaniale wyglądałby na czele manifestacji.

Viola z impetem odstawiła filiżankę.

- Myślę, że muszę już jechać do domu, lady Davenport Mam jeszcze mnóstwo spraw. Dziękuję za herbatę.

- Miło mi, że dobrze się pani bawiła. Co prawda nie miałyśmy czasu na omówienie ślubnego prezentu, ale przynajmniej dostarczyłam pani materiału do przemyślenia. A co do prezentu to musi to być coś bardzo osobistego, co nasz drogi Rayburn z pewnością doceni.

W jej głosie zabrzmiała nuta, która przyprawiała Violę o drżenie. Dziewczyna podniosła się, pragnąc wyjść jak najprędzej i uwolnić się od towarzystwa pięknej Eloise. Choć w samych słowach pozornie nie kryła się żadna pułapka, Viola wyraźnie przeczuwała niebezpieczeństwo.

Lady Davenport również uniosła się z fotela.

- Do widzenia, panno Brandon! To była wielka przyjemność widzieć tu panią. Powóz czeka na dole.

Zadzwoiła srebrnym dzwonkiem i niemal natychmiast drzwi otworzyły się.

- Dziękuję. Do widzenia - pożegnała się chłodno Viola.

Przechodząc przez salon czuła na sobie pełne nienawiści spojrzenie zazdrosnych oczu gospodyni. Szła więc umyślnie wolno i nie spiesząc się wsiadła do powozu.

Dopiero w drodze na Curzon Street odetchnęła głęboko. Miała uczucie jakby poturbowała ją dzika pantera. Ona jest straszna! Niebezpieczna! Jadowita! Ale taka przy tym piękna! Jak Rayburn może jej nie kochać? Gdybym potrafiła być równie pociągająca!

Być może Lyle nie chciał się z nią ożenić, ale jak mógł oprzeć się lekko skośnym, tajemniczym oczom i kremowej, przypominającej płatkę magnolii cerze? Ona jest taka pewna siebie, zrównoważona, wyrafinowana, rozmyślała zrozpaczona Viola. Jakaż ja muszę wydawać się przy niej nieokrzesana i niezdarna!

Kiedy powóz zatrzymał się przed domem, Viola miała wrażenie, że słońce przygasło i świat nie wyglądał już tak pięknie jak godzinę temu. Przygnębiona widziała już tylko czarną pustkę przyszłości bez Rayburna.

Jak zwykle w chwilach smutku, Viola zaszyła się w gabinecie ojca. Odpisywanie na listy z gratulacjami nie miało już sensu, zostawiła je więc rozrzucone na biurku i zamyśliła się.

Przed oczami ciągle miała fascynującą twarz lady Davenport. Czowała, że ta kobieta usiłuje zranić Rayburna. Ona nigdy mu nie przebaczy, będzie chciała się zemścić, myślała Viola. A może ja tylko fantazjuję? Co złego lady Davenport byłaby w stanie zrobić Rayburnowi? Uwolnił się od niej! Ogłoszono jego zaręczyny i w krótkim czasie wszyscy zapomną o jego romansie z czarnooką, uwodzicielską Eloise. Ale lady Davenport i tak uczyni wszystko, by zatrzymać kochanka. Ta myśl przyprawiła Violę o ból serca. W wyobraźni ujrzała Rayburna obejmującego smukłą, elegancką piękność, całującego jej pełne wargi. Nie będę o tym myśleć! Nie będę, nakazała sobie Viola.

Wstała i zaczęła spacerować po pokoju, walcząc z wizjami, które sztydziły z niej i drwiły.

Cóż możesz mu ofiarować? Ty, taka głupia, tchórzliwa i słaba? Dziewczyna nie mająca pojęcia o wielkim świecie?

Słyszała te słowa tak wyraźnie, jakby ktoś wypowiadał je na głos. I nie mogła przed nimi uciec.

Była już szósta, kiedy Viola uświadomiła sobie, że nadal spaceruje po gabinecie ojca.

Tego popołudnia macocha pojechała na wiec do Wimbledonu, skąd miała wrócić dopiero wieczorem. Planowały dziś skromniejszy obiad, gdyż lady Brandon życzyła sobie położyć się wcześniej, by jutrzejszego ranka w pełni sił, udać się do Oksfordu na zjazd sufrażetek.

Viola zastanawiała się przez moment, czy macocha nie zechce zaraz po powrocie wypić herbaty. Było już jednak dość późno. Jeśli mają zasiąść do obiadu o ósmej, lady Brandon zapewne zaczeka z herbatą do pory posiłku.

Na schodach zadudniły czyjeś kroki. Drzwi otworzyły się i do gabinetu zajrzał kamerdyner.

- W holu czekają dwaj policjanci, panienko Violu. Chcą z panią rozmawiać.

- Policjanci? A czego chcą?

- Nie powiedzieli.

Viola pomyślała z obawą, że macocha pewnie czymś się naraziła władzom. Miała nadzieję, że nie będzie to skandal, który podchwyci prasa. Rayburnowi mogłoby to bardzo zaszkodzić.

Dwaj rośli policjanci na jej widok zdjęli czapki.

- Panowie chcieli się ze mną widzieć?

- Pani jest Violą Brandon?

- Tak.

- Mamy rozkaz aresztować panią, panno Brandon. Jest pani oskarżona o umyślne spowodowanie pożaru w domu przy Belgrave Square.

- Spowodowanie pożaru? - zdumiała się Viola.

- Tak, proszę pani. Doniesiono władzom, że podczas wizyty u pani Eloise Davenport podłożyła pani ogień w pokoju na parterze. Pozostawiła pani dużą ilość ulotek, które wyjaśniać mogą pobudki pani postępowania.

- To nieprawda! - zachnęła się Viola.

- Przykro mi, ale musimy prosić, aby udała się pani z nami na posterunek.

- To jakaś straszna pomyłka. Rzeczywiście byłam zaproszona na herbatę do lady Davenport, ale bardzo szybko stamtąd wyszłam. Przyjechałam do domu jej powozem.

- Będzie pani mogła złożyć oświadczenie na posterunku.

- Czy muszę pozostać w areszcie? - Viola słyszała swój głos jak z oddali.

- To zależy od komendanta. Myślę jednak, że tak.

Viola słyszała łomot własnego serca. Ściany wokół niej falowały. Wreszcie zmusiła się, aby zebrać myśli.

- Czy, zanim pojedziemy, mogłabym napisać parę słów do mojego narzeczonego? To pan Rayburn Lyle, podsekretarz stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Bez wątpienia nazwisko Lyle'a wywarło na policjantach duże wrażenie. Wymienili spojrzenia.

- W porządku - zgodził się starszy rangą. - O ile nie ma pani zamiaru uciec się do jakiegoś podstępu.

- Nie, oczywiście że nie. Może pan pójść ze mną i towarzyszyć mi, gdy będę pisała.

Policjanci najwyraźniej poczuli się niezręcznie, gdyż nie nalegali, by udać się z zatrzymaną. Viola pobiegła do gabinetu i szybko skreśliła krótkie błaganie o pomoc.

„To nieprawda, przysięgam panu. Proszę mi pomóc, proszę!” Podpisała się, wsunęła list do koperty i podała kamerdynerowi.

- Natychmiast wyślij kogoś dorożką do Izby Gmin - poleciła. - To niesłychanie ważne.

- Tak jest, proszę panienki.

Viola nałożyła kapelusz przybrany wistarią, wzięła torebkę i białe rękawiczki. Była gotowa.

Przed domem czekała zaprzężona w dwa konie policyjna buda, zwana przez londyńczyków Czarną Marią. Jeden z policjantów pomógł Violi wsiąść do środka i usadowił się na twardej ławce naprzeciw niej. Drugi zaś wspiał się na kozioł obok woźnicy.

Konie ruszyły. Viola pograżyła się w rozmyślaniach. Wiedziała, że to zemsta lady Davenport. Eloise wymyśliła intrygę, która zniszczyć miała nie tylko szczęśliwą rywalkę, ale przede wszystkim Rayburna. Jutro cała prasa pisać będzie, że narzeczona Lyle'a podłożyła ogień w domu jego pięknej kochanki.

Dziewczyna przymknęła oczy. Wyobraziła sobie nagłówki w brukowych gazetach. Słyszała niemal śmiech i docinki wyszydające nawet nie ją, ale Rayburna.

Jak można zrobić coś takiego człowiekowi, którego się kocha? Viola doszła do wniosku, że porównanie lady Davenport z wężem było całkowicie uzasadnione. Musiała wcześniej wszystko to zaplanować. Pragnęła zniszczyć podstępem człowieka, który ją upokorzył, więc postanowiła uderzyć w najczulsze miejsce - w jego karierę.

Trudno byłoby obmyślić sprytniejszą zemstę w czasach, kiedy każdy członek rządu z zasady przeciwny był sufrażystkom. Dla Rayburna będzie to kompromitacja polityczna. Na domiar złego podobna historia wystawi go na pośmiewisko w towarzystwie. Z pewnością będzie zmuszony podać się do dymisji. Viola znów pożałowała, że nie zginęła podkładając bombę w domu Lyle'a.

Na posterunku odczytano jej akt oskarżenia. Na próżno Viola przysięgała, że jest niewinna. Szybko przekonała się, iż komendant jej nie wierzy.

- Jutro stanie pani przed sądem - zawiadomił ją sucho. Całym swoim zachowaniem demonstrował opinię o kobietach, które robią z siebie idiotki.

- Czy muszę zostać w areszcie?

- O ile ktoś nie zapłaci za panią kaucji, która w tym wypadku jest bardzo wysoka. Trzydzieści funtów.

- Wiem, że jest ktoś, kto to zrobi - szepnęła dziewczyna.

Znany już Violi policjant zaprowadził ją do celi. Ku uldze Violi cela była zupełnie pusta. Pijaków i aresztowane na ulicach prostytutki zwożono na posterunek przy Bow Street dopiero późnym wieczorem.

Mimo to zaduch panował tu jeszcze gorszy niż w celi, gdzie ongiś spędziła noc z zatrzymanymi sufrażystkami.

Viola zdawała sobie sprawę, że dziwnie musi wyglądać w tym miejscu ubrana w strój wizytowy i elegancki kapelusz. Wokół cuchnęły plamy jakichś nieczystości, których odór zmieszany z zapachem środków dezynfekcyjnych niemiłosiernie drażnił nozdrza.

Viola usiadła na twardej ławce i wpatrzyła się w pustą ścianę. Nie mogła przestać myśleć o lady Davenport i jej podstępnej zemście.

Rayburn pracował tak ciężko, aby osiągnąć obecną pozycję. Było powszechnie wiadomo, że stanowisko uzyskał wyłącznie dzięki inteligencji i zdolnościom.

- Ten młody człowiek zajdzie daleko - rzekł do niej jeden z gości znajomego członka parlamentu.

- Mam nadzieję - odparła wówczas.

- Proszę zapamiętać moje słowa, będzie pani jeszcze mieszkać pod dziesiątym na Downing Street - śmiał się dobroduszenie jej rozmówca.

Chociaż był to żartobliwy komplement, Viola wyczuła w nim szczery podziw. Spojrzała na Rayburna siedzącego u szczytu stołu i pomyślała, że nie ma takiej rzeczy, której nie umiałby zdobyć. Był zdolny, miał czarujący sposób bycia, ludzie garnęli się do niego. Miał przywódcze cechy, bez trudu zdobywał zwolenników.

Jak mogło dojść do takiego nieszczęścia? Jak Eloise Davenport mogła to uczynić? Nagle Viola poczuła się, jakby obezwładniał ją senny koszmar. Dlaczego od razu nie domyśliła się, że zaproszenie na Belgrave Square jest pułapką? Dlaczego tak łatwo połknęła przynętę? Dlaczego instynkt nie ostrzegł jej przed tą niebezpieczną kobietą?

Byłam głupia, oskarżała samą siebie i niemal umierała ze strachu na myśl, że Rayburn jej tego nie przebaczy. Przecież zaproszenie lady Davenport powinno było wydać się jej podejrzane. Serdeczny list do przyszłej żony od byłej kochanki u każdego wzbudziłby wątpliwości. Przecież, gdyby chciały, mogły spotkać się w towarzystwie. Wtedy obie zachowywałyby się w kulturalny sposób, ale rozmyślnie zaaranżowane spotkanie... A ona, Viola, zgodziła się na to. Sama sprowokowała nieszczęście!

Było już chyba późno. W celi panowały ciemności. Chłód przenikał przez cienką suknię.

W chwili aresztowania Viola była zbyt otumaniona, by pomyśleć o zabraniu z domu chusty czy szala. Odruchowo nałożyła tylko kapelusz, którego nie zdążyła schować po powrocie od lady Davenport. Idąc za policjantami, nie zastanawiała się nawet, ile czasu przyjdzie jej spędzić poza domem.

Nagle wstrząsnęło nią straszne podejrzenie. Może Rayburn tym razem jej nie uratuje? Może zostawi ją na pastwę losu? Może, przeczytawszy list, zniecierpliwi się tylko i nie podejmie żadnych działań?

Złe zrobiła, że nie zwróciła się do prawnika ojca. Znała go bardzo dobrze, gdyż po śmierci lorda Brandona zajął się jej sprawami majątkowymi. Mógł tu przecież przyjechać i wydostać ją. Byłoby to lepsze niż wzywanie Rayburna! Jednak tak czy inaczej Lyle już był w tę sprawę zamieszany. Beznadziejnie i nieodwołalnie.

Zrobiłam wszystko źle, myślała żałośnie Viola. W tym momencie usłyszała szcęk kluczy i ludzkie głosy. Przez uchylone drzwi do celi wpadła smuga światła.

Kwadrans później u boku Rayburna opuszczała posterunek. Szła milcząc, z opuszczoną głową, aby nie dostrzegł jej wystraszonego spojrzenia.

- Co się właściwie stało? - zapytał Lyle, gdy samochód ruszył.

- To nieprawda! Przysięgam ci, że nieprawda! - płakała Viola.

- Po co poszła pani do domu lady Davenport?

- Napisała do mnie list z zaproszeniem na herbatę. Nie chciałam odmawiać, żeby nie wydać się źle wychowana.

Rayburn zacisnął usta. Miał inny pogląd na tę sprawę, spokojnie jednak zaproponował:

- A teraz proszę wszystko dokładnie mi opowiedzieć.

I Viola streściła mu przebieg wizyty na Belgrave Square.

Przytoczyła fragmenty rozmowy z Eloise, opisała jak się pożegnały i jak z powrotem znalazła się w domu.

- To tyle - zakończyła. - Nic więcej się nie działo, przysięgam. Proszę mi uwierzyć.

- Wierzę - odparł krótko.

Viola poczuła, że serce mocniej zabiło jej na te słowa. Była pewna, że poza Rayburnem nikt jej nie uwierzy.

- Co ja mam robić, co zeznać przed sądem? - pytała. - Z powodu działalności macochy, wszyscy są przekonani, że jestem sufrażystką i walczę wszelkimi sposobami o prawa wyborcze dla kobiet.

- Rzeczywiście trudno będzie udowodnić, że tak nie jest - zgodził się Rayburn.

Dziewczyna nie ośmieliła się nawet wspomnieć o jego zniszczonej karierze, rozgłosie w prasie, o wszystkim, o czym rozmyślała w celi.



- Więc co mamy robić? - szepnęła.

Nie odpowiedział. Viola, nie mogąc dłużej znieść napięcia, oświadczyła cicho:

- Zabiję się. Może ludzie pomyślą, że po prostu byłam szalona.

Rayburn odwrócił się i wziął ją za rękę.

- Nie wolno pani mówić takich bzdur! - rzekł ostro. - Nigdy nie mów w ten sposób, rozumiesz?!

- Ale ja nie mogę pana krzywdzić!

- Mnie?!

- Tak, chodzi mi o pana. Przecież ona właśnie chciała zrujnować pana karierę, prawda?

Oboje wiedzieli, o co chodziło lady Davenport.

- Tak, obawiam się, że coś podobnego może nastąpić - przyznał Lyle.

- Więc co robić? Jak zapobiec katastrofie? Zacisnął palce na jej dłoni.

- Mam pewien pomysł, lecz pani jest zbyt zmęczona po ostatnich przejściach. Teraz pojedzie pani do domu i nikomu nie wspomni o tym, co się stało.

- Macosze też nie powinnam mówić?

- W żadnym razie!

- Służba powtórzy jej, że w domu była policja.

- Wyjaśni jej pani, iż zaszła pomyłka. Pomyłono panią z kimś innym. To się zdarza.

Oczy Violi wyrażały zdumienie.

- Proszę mi zaufać - uśmiechnął się lekko, po raz pierwszy od chwili, gdy zabrał ją z posterunku.

- Zrobiłabym wszystko, żeby panu pomóc. Tak mi niesłychanie wstyd za kłopoty, które nieustannie ściągają panu na głowę.

- Myślę, że ten ostatni sam sobie ściągnąłem na głowę. A teraz, Violu, niech pani zrobi to, o co proszę.

- Czy będę musiała pojechać na komisariat jutro rano?  
- Mam nadzieję, że nie. A ponieważ wiem, że pani nie zaśnie dopóki nie będzie pewna, że wszystko jest w porządku, przyjdę jeszcze tej nocy zdać relację z moich poczynań.

Widząc niepewność w jej oczach, dodał:

- Służba pójdzie już spać, zastukam lekko kołatką. Wtedy mnie pani wpuści i opowiem, co się dzieje.

- Będę czekała - przyrzekła Viola cichutko. Wciąż jeszcze czuła ciepło jego palców.

- Przez cały czas będę się za pana modliła. Przede wszystkim, żeby nie miał pan kłopotów ze strony prasy, żeby nie doszło do skandalu. Będę się modlić jak nigdy dotąd!

- Dziękuję.

Limuzyna zatrzymała się przed domem lady Brandon.

- I proszę się nie martwić - dodał Lyle cicho, kiedy szofer otwierał drzwiczki.

Tym razem Rayburn nie pomógł Violi wysiąść. Odniosła wrażenie, że bardzo się gdzieś spieszył. Patrzyła za nim, aż automobil zniknął za zakrętem, a potem powoli ruszyła ku drzwiom wejściowym.

- Boże, Boże pomóż mu - zaczęła się modlić, a była to modlitwa z najtajniejszych głębin jej duszy.

Rayburn kazał szoferowi wracać na Queen Anne's Gate. W domu zabawił jednak nie więcej niż dziesięć minut i wyruszył na Belgrave Square.

- Pani przebiera się do obiadu, sir - poinformował go kamerdyner.

- Mimo to poproś, aby natychmiast zeszła, Hughes.

Służba na Belgrave Square знаła Lyle'a dobrze i uważała za człowieka uprzejmego i sympatycznego. Przyjemnie było mu usłużyć. Toteż ton głosu Rayburna zaskoczył kamerdynera.

Tymczasem Lyle ruszył na piętro do salonu. Nie zwracał uwagi na zapach kadzidła ani woń lilii, którymi stale otaczała się lady Davenport. Był przyzwyczajony.

Wyglądał przez okno, gdy weszła Eloise, ubrana w prześwitujący negligé, w którym ongiś tak często przyjmowała Lyle'a.

Przyjrzał się jej z uwagą. Dyskretne światło rzucało błyski na włosy koloru hebanu i lśniło w czarnych oczach.

- Rayburn? Co za niespodzianka!

- Ale nie taka, o jakiej myślisz. Podszedł do niej. Przez chwilę zmagali się wzrokiem.

- Jak mogłaś zrobić coś równie wstrętnego?

- Zasłużyłaś na to!

- Może - przytaknął - ale ta sprawa dotyczy nie tylko mnie!

- Chyba nie sądzisz, że w jakimkolwiek stopniu interesuje mnie ta smarkuła, z którą bawisz się w narzeczonego?

- Z którą jestem zaręczony - poprawił.

- Oczywiście. A teraz możemy cieszyć się naszym tete - a tete. Ona nie dowie się, bo siedzi w areszcie. To już parę tygodni mija, odkąd widziałam cię po raz ostatni.

- Często mi mówiłaś, że jesteś mściwa, ale nie wierzyłem - rzekł Rayburn z wolna.

- Więc teraz mi uwierzysz - syknęła Eloise. - Prasa nie jest szczególnie zachwycona twoją polityką zagraniczną, więc będzie to woda na ich młyn. Myślę, że zmuszą cię, żebyś ustąpił.

- Bez wątpienia. Jestem na to przygotowany. O ile, oczywiście, skandal dotrze do dworu.

- Jestem gotowa jutro przedstawić dowody - rzekła lady Eloise słodko. - Opowiedziałam już wszystko policji i podpisałam zeznania. Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Doprawdy, zanim wyjdiesz, musisz rzucić okiem na stan małego salonu. Dywan jest całkowicie wypalony, a porozrzucane wszędzie ulotki stanowią najbardziej przekonujący dowód tej napaści.

- A więc jutro masz zamiar iść do sądu i złożyć fałszywą przysięgę.

- Tak jak ty tysiące razy przysięgałeś, że mnie kochasz.

- Z pewnością nie aż tysiące. Nie mam zresztą zamiaru dyskutować o przeszłości. Z jednym wyjątkiem.

- Jakim?

Była niezmiernie pewna siebie. Gdy stała naprzeciw gotowa do walki, czuł, że nie utraciła nadziei rozniecić na nowo ogień, który niegdyś spalał ich oboje.

Nie mogła najwidoczniej uwierzyć, że już na niego nie działa, nie pociąga powabem ciała, zmysłową linią ust, blaskiem oczu.

Eloise Davenport ze swoją ogromną próżnością nie pojmowała, iż obecnie Rayburn nienawidzi jej jak nikogo na świecie.

Lyle wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza kartkę papieru.

- Myślę, Eloise, że powinienem postawić sprawę całkiem jasno. Jeśli jutro złożysz obciążające Violę zeznania, ona zaprzeczy twoim zarzutom, a wówczas ja przedstawię sądowi ten dowód.

- Co to takiego? Podał jej papier.

- To jest kopia listu, który napisałaś do mnie trzy miesiące po pośladowaniu godnym epizodzie z księżną Pavavenski. Proponuję, żebyś to sobie przejrzała.

Eloise po chwili wahania zaczęła czytać. Było to jej własne pismo, w którym oskarżała Rayburna o flirt z pewną wyjątkowo piękną Polką.

„Zamorduję tę kobietę, zamorduję albo wydrapię jej oczy, jeżeli znowu będziesz z nią rozmawiać. Jesteś mój, nie będę się Tobą z nikim dzielić. Kiedy leżałam ostatniej nocy w Twoich ramionach, czułam się bezgranicznie szczęśliwa. Ale dziś znów znalazłam się w piekle. Kocham Cię i będę walczyć do ostatniego tchu. Jeżeli kiedykolwiek opuścisz mnie dla księżniczki czy innej kobiety, ona ten dzień popamięta i będzie Cię przeklinać do końca życia.”

Eloise jeszcze raz przeczytała list od początku do końca.

- Podejrzewam, że księżę i księżna Marlborough nie byliby zachwyceni, gdyby ich nazwisko wymieniono przy okazji tej niesmacznej historii - rzekł Rayburn. - Mogą wszak dostać wezwanie sądowe, aby poświadczyć, że byliśmy ich gośćmi razem z księżniczką Pavavenski. Ale, oczywiście, zemsta to twoja specjalność i pewnie zaryzykujesz wszelkie konsekwencje.

Mówił spokojnie. Dla Eloise każde słowo było ciosem, który miażdżył i ranił jej dumę. Wiedziała doskonale, że odczytanie listu przed sądem oznaczałoby dla niej katastrofę i naraziło na długie lata ostracyzmu towarzyskiego. Kodeks wielkiego świata stawiał sprawę jasno: nie daj się przyłapać! Dla żony dżentelmena nie było wybaczenia, gdy publicznie ogłoszono jej cudzołóstwo.

Eloise stała więc, wpatrując się w groźny skrawek papieru. Wreszcie rzekła trzęsącym się głosem:

- Nie ośmielisz się zrobić z tego użytku!
- Wiesz bardzo dobrze, że nawet się nie zawaham!

Spojrzała na niego z furją. Przez moment myślał, że ma zamiar dalej opierać się, ale tylko zapytała ponuro:

- Doskonale, czego zatem ode mnie chcesz?

- Chcę, abyś poszła ze mną na posterunek i odwołała zeznanie oraz poinformowała policję, że to wszystko pomyłka.

Postaraj się być przekonująca, żeby dali wiarę twoim wyjaśnieniom.

Spojrzała na niego przeciągle. Zapadła cisza. Rayburn czekał. Wreszcie znów podniosła oczy.

- Pozwól mi to podrzeć i zapomnij, co zrobiłam - zaproponowała. - Wróć do mnie, Rayburnie, nie umiem żyć bez ciebie.

Ta nagle zmiana nastroju wprawiła go w zakłopotanie.

- Możesz przecież wycofać się jeszcze z tego idiotycznego narzeczeństwa - ciągnęła. - Na razie musielibyśmy spotykać się potajemnie, ale potem...

W jej głosie nie było fałszu, ale Rayburn nie dał się zwieść pozornej łagodności i czułości.

- Wybaczam ci, że usiłowałaś mnie skrzywdzić - rzekł z namysłem - co ostatecznie można zrozumieć, ale nigdy nie umiałbym ci zapomnieć, że usiłowałaś zniszczyć młodą, bezbronną dziewczynę.

Lady Davenport wydała z siebie dźwięk świadczący o z trudem tłumionej furii.

- A cóż ona znaczy? Ona nie da ci tej przyjemności, którą znamy oboje, podniecenia, ognia, który nas pożerał. Rzuć ją, a będziemy szczęśliwi jak przedtem.

- To niemożliwe - odparł Rayburn. - Przykro mi Eloise, jeżeli przywiązywałaś wagę do tego, co było tylko miłym epizodem w życiu nas obojga. Niczym więcej. I już się skończyło.

Mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu, ale Eloise jeszcze nie dowierzała.

- Pocałuj mnie, dotknij - błagała, wyciągając ramiona. - Zobaczysz, że czar trwa.

Rayburn podszedł do kominka.

- Za późno, Eloise. Co miało być powiedziane, zostało powiedziane. Co miało być zrobione, zostało zrobione. Proszę, przebierz się i choć ze mną na posterunek.

Stała jeszcze niezdecydowana, wpatrując się w jego plecy. Potem głosem, który zdawał się łamać od emocji, rzekła gorzko:

- Nienawidzę cię, Rayburnie! Nienawidzę cię!

Nie odpowiedział. Po chwili lady Davenport wyszła z pokoju.

## Rozdział 7

Viola czekała w sypialni. Przez uchylone drzwi słyszała jak kamerdyner gasi lampy w holu, a potem odchodzi ciężkimi krokami w stronę pomieszczeń dla służby.

Teraz dopiero mogła bezpiecznie zejść na dół, by czekać na Rayburna. Wydawało jej się, że wieczór nigdy się nie skończy. Każda godzina dłużyła się jak stulecie. Na szczęście Viola nie musiała niczego wyjaśniać macosze, gdyż jedynym świadkiem aresztowania był stary sługa ojca. Szczerze przywiązany do Violi i jej matki, nie znosił drugiej lady Brandon. - Wiesz, Bates, wzięto mnie za kogoś innego - wyjaśniła staruszkowi Viola po powrocie z komisariatu.

- Tak myślałem. Przecież panienka, odkąd zareczyła się z panem Lyle'em, nie ma już z tymi paniami nic wspólnego.

- Próbuję trzymać się z dala od tych spraw, więc proszę, nie wspominaj pani o tym nieporozumieniu.

Przy obiedzie Viola milczała, więc lady Brandon niczego nie zauważyła.

Wiec w Wimbledonie okazał się sukcesem, a oczekiwany zjazd w Oksfordzie zapowiadał się równie atrakcyjnie. Lady Brandon tryskała więc humorem.

- Wiesz, Violu, właściwie dlaczego nie miałabyś ze mną pojechać? - zapytała po dziesięciu minutach monologu.

Viola spojrzała zdumiona. Po raz pierwszy od czasu przyjęcia w Croxdale Park macocha zaproponowała jej udział w spotkaniu sufrażystek.

- Od dawna już nie słyszałaś pani Pankhurst - ciągnęła lady Brandon. - Powinnaś obserwować jej metody utrzymywania publiczności w napięciu. Są niezwykle skuteczne. To ci się przyda w przyszłości.

- Nie rozumiem - bąknęła Viola. Lady Brandon uśmiechnęła się.



- Jako żona Rayburna będziesz zobowiązana otwierać niezliczone wystawy kwiatów i dobroczynne wenty, a przy tych okazjach wygłaszać oficjalne przemówienia. Poza tym żywię nadzieję, iż zajmując tak wysoką pozycję, będziesz popierała nasze dążenia. Potrzebujemy twego poparcia.

Viola bezmyślnie grzebała widelcem w talerzu. Ze zdenerwowania nie mogła nic przełknąć. Na szczęście macocha niczego nie spostrzegła. - Jestem pewna, że Rayburn nie będzie życzył sobie, abym uczestniczyła w waszym ruchu - wykrztusiła wreszcie.

- Więc musisz skłonić go do zmiany poglądów - przerwała lady Brandon. - Sprytna kobieta kieruje, jak chce, zakochanym mężczyzną.

Roześmiała się i dodała:

- Nie uważam cię za sprytną. Nigdy taka nie byłaś. Jednak Rayburn Lyle jest w tobie zakochany i, skoro chce się zenić, zapewne niczego ci nie odmówi.

Viola nie mogła zaprzeczyć temu stwierdzeniu bez wyjaśnienia istoty swego układu z Lyle'em. Odetchnęła więc z ulgą, gdy macocha zmieniła temat.

W jakiś czas później, rozbierając się do snu, Viola rozpamiętywała słowa macochy.

Oczywiście, nie było powodu, dla którego Rayburn miałby rzeczywiście ją poślubić. Wiedziała o tym i godziła się na taki stan rzeczy, ale była to bolesna świadomość. Co mogła ofiarować takiemu mężczyźnie jak Rayburn?

Nawet jeśli jakimś cudem Lyle wyciągnie ich z pułapki zastawionej przez lady Davenport, i tak w przyszłości czekają go kolejne kłopoty.

Mogę uczynić tylko jedno, myślała Viola z rozpaczą. Bez względu, na co ją to narazi, zwróci Rayburnowi wolność.

W domu zapanowała cisza. Dziewczyna wsunęła stopy w miękkie pantofle i wyjrzała na korytarz. Odgłosy kroków tłumił gruby dywan.

W gabinecie ojca Viola zapaliła dwie świece i, ponieważ noc była chłodna, rozpałała ogień w kominku. Nadal jednak dygotała w cienkim szlafrocisku narzuconym na nocną koszulę. Obawiała się o Rayburna. Powiedział, żeby mu ufała, ale czy cokolwiek mogło ją uchronić przed jutrzejszą rozprawą. Wyobraziła sobie rozpalone ciekawością twarze dziennikarzy notujących pieczołowicie każde jej słowo. Mimo wysiłków Rayburna, z pewnością nikt nie uwierzy w jej niewinność i skaza ją za zbrodnię, jeśli nie na tle zazdrości, to z pobudek ideologicznych. Wyrok z pewnością będzie opiewał na co najmniej dwa miesiące więzienia. Zniszczona została prywatna własność, a policja bardzo poważnie traktowała podpalaczy.

Dwa miesiące! Dwa miesiące! Te słowa wydawały się napierać na nią ze wszystkich stron. Viola modliła się gorąco, aby Rayburn znalazł jakieś rozwiązanie.

Nie chodzi o mnie, powtarzała sobie. Chodzi o niego. Nie chcę, by zmuszono go do dymisji z powodu niegodziwego, ohydneho kłamstwa.

Spojrzała na zegar. Czas chyba się zatrzymał, tak wolno posuwały się wskazówki. Viola uchyliła drzwi do holu.

W gabinecie ogień na kominku dawał przytulne ciepło, w holu zaś panował chłód i mrok. Wpadające przez niedociągnięte stopy smugi światła gazowych latarni nie mogły rozproszyć ciemności. W ciszy rozlegało się tylko monotonne tykanie starego zegara. Viola pomyślała, że jej serce bije równie głośno. Już straciła nadzieję na spotkanie z Rayburnem, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Zanim Lyle zdążył potrząsnąć kołatką Viola już otworzyła drzwi. Położyła palec na ustach i wpuściła gościa do holu.

Bała się, że obudzą macochę, która zawsze chwaliła się niezwykle czujnym snem.

- Nie obudzi mnie ruch uliczny - mawiała - a ludzki głos od razu. Nie cierpię nawoływań mleczarza i zamiataczy hałasujących na ulicy od świtu do wieczora.

Viola cichutko zamknęła za Rayburnem drzwi. Lyle rzucił kapelusz na stolik i ruszył za nią do mieszczącego się na tyłach domu gabinetu. Tam mogli spokojnie porozmawiać.

Gdy zamknęły się za nimi wreszcie drzwi gabinetu, Viola przystanąła, jakby nie miała siły wykonać już więcej jakiegokolwiek ruchu. Wpatrywała się tylko w gościa ciemnymi przerażonymi oczami. Przyglądając się jej, Rayburn pomyślał, że bardziej niż zwykle przypomina fiołek. Szczupłą, dziewczęcą figurkę otulał wykończony koronką szlafrok z białego jedwabiu. Twarz okalały rozplecione włosy, znacznie dłuższe niż mogło się to wydawać, gdy były upięte. Wyglądała nadzwyczaj młodo i delikatnie.

Na widok znajomego uśmiechu Violi wydało się, że cały pokój wypełnił się światłem.

- I jak? - wyszeptała.

Ledwie dosłyszał jej pytanie, tak bardzo drżały jej wargi.

- Wszystko dobrze - rzekł łagodnie. - Naprawdę.

Dziewczyna uniosła dłonie do twarzy i łzy popłynęły jej po policzkach. Rayburn objął ją mocno i przytulił.

- Wszystko dobrze - powtórzył. - Wiem, że trudno było znieść oczekiwanie, ale nie mogłem przyjść wcześniej.

Płakała, oparta na jego ramieniu, wiedział jednak, że go słucha.

- Lady Davenport wycofała oskarżenie. Policja uznała, że nastąpiła pomyłka. Nikt się nie dowie o tym przykrym epizodzie.

Viola nadal drżała, dodał więc delikatnie:

- Nie będzie żadnego skandalu, nikt oprócz nas nic nie wie. Musimy po prostu zapomnieć.

- Nikt się nie dowie?

- Nikt.

- Ale w jaki sposób...?

- A czy to ma jakieś znaczenie? Jest pani wolna, nie padnie pani ofiarą plotek. Proszę tylko zapomnieć, że kiedykolwiek poznała pani lady Davenport.

Ostatnie słowa wypowiedział niemal ostro. Wysłunięcie się z jego ramion wymagało od Violi zmobilizowania całej siły woli.

- Muszę coś jeszcze powiedzieć - szepnęła wreszcie.

- Ja również - odparł - ale pani pierwsza.

- Był pan dla mnie bardzo dobry, uratował ze straszego położenia pozorując nasze zaręczyny, ale ja nie mogę być dłużej zagrożeniem dla pańskiej kariery.

Rayburn wpatrywał się w nią bez słowa.

- Uchronił mnie pan przed intrygami lady Davenport, ale pozostaje jeszcze moja macocha, która znów próbuje wplątać mnie w działalność swojego ugrupowania.

- Cóż więc pani proponuje? - zapytał ostrożnie.

- Powinniśmy przestać udawać i... zerwać zaręczyny!

Wypowiadając tę propozycję, Viola cierpiała straszliwie. Czowała się jakby wyrywano jej żywcem serce z piersi. Już nie będzie miała po co żyć, myślała, na co czekać, o czym marzyć. Wiedziała jednak, że bez względu na własny ból musi ratować ukochanego mężczyznę.

- Więc myśli pani o mnie?

- Tak, oczywiście. Jest pan wybitnie zdolny i tyle może dać światu. Kraj pana potrzebuje. Nie mogę postępować tak egoistycznie, tylko dlatego, że obawiam się awansów lorda Croxdale'a.

- Czy to znaczy, że on nadal panią prześladowuje?

Uwadze Lyle'a nie uszło lekkie drzenie zaciśniętych palców Violi.

- Jakoś sobie poradzę - rzekła odważnie. - Może wyjadę do Szkocji albo gdzie indziej, gdzie mnie nie znajdzie.

- I będzie pani szczęśliwa?

Przez moment czuła pokusę, żeby powiedzieć mu prawdę: że bez niego nie może być nigdy ani nigdzie szczęśliwa, że świat stanie się dla niej przerażającą pustynią. Opanowała się jednak, uniosła drobny podbródek i powtórzyła:

- Nie możemy kontynuować tej fikcji. Musi pan myśleć o sobie.

- Właśnie to zamierzam robić - oświadczył. - Najpierw jednak chcę pani powiedzieć, co odkryłem, szukając sposobu rozwiązania naszych kłopotów.

Viola rzuciła mu smutne spojrzenie spod wilgotnych rzęs. Uświadomiła sobie, że ciągle jeszcze ma mokre policzki i próbowała obetrzeć je dłonią. Rayburn z uśmiechem podał jej pachnącą lawendą chusteczkę.

Viola czuła, że całym sercem należy do Rayburna. Znow owładnęła nią ciepła fala miłości. Żeby tylko się nie rozpląkać, myślała. Otarła energicznie łzy, zmięła w dłoniach chusteczkę i odważnie spojrzała na Lyle'a. Miała nadzieję, że nie uważa jej za kłopotliwą histeryczkę.

- Pani oczy wyglądają jak fiołki po deszczu - odezwał się dziwnym głosem. Viola zmieszła się. Dopiero teraz uprzytomniła sobie w jakim stroju przyjmuje swego gościa i nerwowo poprawiła poły szlafroka.

- Przepraszam, że widzi mnie pan w negliżu, ale inaczej musiałabym się tłumaczyć przed pokojówką. Nie mogłam zostać w dziennej sukni.

- To oczywiste - odparł. - Zresztą wygląda pani ślicznie, ładniej niż kiedykolwiek przedtem.

Dziewczyna zarumieniła się, a Rayburn Lyle dodał:

- Muszę koniecznie z panią pomówić. Czy nie moglibyśmy porozmawiać w wygodniejszych warunkach?

Viola usiadła na sofie i wskazała mu miejsce obok siebie. Przypuszczała, że rozmowa dotyczyć będzie warunków rozstania, więc z trwogą czekała na jego słowa.

- Jak już wspomniałem, dzisiejszego wieczoru odkryłem coś niezwykle ważnego - zaczął Lyle. - Właściwie, podświadomie wiedziałem o tym od dawna, ale dopiero teraz w pełni to sobie uzmysłowiłem.

- Co pan odkrył?

- Odkryłem, że panią kocham.

Viola osłupiała. Wpatrywała się w Rayburna niedowierzająco w przekonaniu, że musiała się przesłyszeć.

- To prawda - powtórzył cicho. - Kocham cię maleńka. Znaczysz dla mnie tak wiele, że dalej nie potrafię bez ciebie żyć.

Zajrzał w szeroko rozwarte oczy Violi. Światło, które w nich rozbłysło opromieniło całą jej twarz. Lyle objął narzeczoną i przyciągnął do siebie.

- To nie może być prawdą. To sen - szepnęła oszołomiona.

- To nie sen, to rzeczywistość - powtórzył z naciskiem i delikatnie dotknął wargami jej ust. Nie przypuszczał, że są tak słodkie i niewinne. Drżała, a on całował ją zachłannie.

Viola nie mogła zebrać myśli. Świat wokół przestał dla niej istnieć, a ukochany mężczyzna całował ją coraz mocniej. Czowała jak lęk i niepewność odchodzą w niepamięć. Pieszczoty Rayburna wydały jej się jakimś wzniosłym aktem, a jednocześnie ogarniało ją podniecenie. Czas stanął w miejscu. Była tylko wieczność i oni na zawsze już nierozłączni. Wreszcie Rayburn podniósł głowę.

- Kocham cię, mój mały fiołku - rzekł. - A teraz powiedz, że i ty mnie kochasz.

- Kocham cię! Całym sercem, całą duszą... I ponieważ kocham cię tak serdecznie, nie chcę stać się źródłem twoich kłopotów.

- Jedyna krzywdą, jaką mogłabyś mi uczynić, to odmowa poślubienia mnie. Małżeństwo będzie świetnym sposobem na rozwiązanie naszych problemów.

- Ale twoja kariera?

- Myślę, że gdy zostaniesz lady Lyle, fakt ten uświetni tylko i wesprze moją karierę.

Po chwili dodał z uśmiechem:

- I przysięgam, że nie pozwolę ci walczyć o inne prawo dla kobiet, niż prawo do miłości!

- Czy mogłabym pragnąć czegoś innego! Jesteś całkiem pewny swojej decyzji? - spytała raz jeszcze Viola.

- Całkowicie - odparł stanowczo. - Jedyne, co możesz zrobić dla mojego szczęścia, to przyjąć moje oświadczenia.

- Pragnę tego najbardziej na świecie. Nigdy nie marzyłam nawet, że możesz mnie kochać. Ale ja tak niewiele mam ci do ofiarowania.

Uśmiechnął się i mocno ją przytulił.

- Możesz mi dać wszystko, czego pragnę od żony. Z początku współczułem ci i uważałem, że muszę cię bronić, tak jak broniłbym dziecko, ale potem pojąłem, że nie tylko chcę cię chronić, ale po prostu posiadać! Mieć pewność, że jesteś tylko moja. Na zawsze.

Viola odetchnęła głęboko. Spojrzała na Lyle'a, a on pomyślał, że nigdy dotąd nie widział istoty tak promiennej.

- Nie jestem zbyt mądra - oponowała jeszcze - ani zbyt dobrze wyedukowana. Ani tak światowa jak twoje przyjaciółki.

- Wszystko to nie ma znaczenia. Tamte kobiety zabawiały mnie tylko krótką chwilę. Ty masz cechy, których potrzebuję na całe życie.

Pocałował ją w czoło.

- Nie mogę istnieć bez ciebie, ani ty beze mnie.

- Chcę ci zawsze pomagać, chcę się tobą opiekować, chcę cię kochać - mówiła Viola.

Odszukał jej usta i myślała już tylko o nim. Całował ją do utraty tchu, jeszcze mokre oczy, policzki, szyję. Nigdy przedtem Lyle nie przeżywał takiego uniesienia. Jakby dotykał kwiatu. Pieszcząc ukochaną, odnalazł prawdziwe szczęście.

Viola ożywiała w nim pragnienia z czasów wczesnej młodości, marzenia i ideały, o których zapomniał podczas pełnych determinacji potyczek żyda publicznego. Była czysta i dobra, więc pod jej wpływem odnalazł znów w sobie rycerskość i szlachetność, cechy niegdyś właściwe jego osobowości.

- Kocham cię... kocham cię... - szeptała Viola.

Violę zdumiewały i zachwycały nowe przeżycia. Wiedziała, że to jest właśnie wymarzona miłość, tylko jeszcze doskonalsza, jeszcze cudowniejsza niż mogła przypuszczać.

- Mam ci tyle do powiedzenia. Tyle muszę cię nauczyć, moja najdroższa - mówił Rayburn, nie odrywając wzroku od jej rozkochanych oczu. Nie chcę, żeby cokolwiek zagrażało d w tym domu, czy gdzie indziej. Więc kiedy się pobierzemy?

- A kiedy możemy najprędzej?

- Jak tylko będziesz gotowa.

- Już jestem gotowa. Więc może jutro. Rayburn roześmiał się i znów przytulił Violę.

- Oto właściwa odpowiedź. Ale myślę, moja najdroższa, że dopiero pojutrze. Muszę uzyskać specjalne pozwolenie, a wtedy nasz ślub odbędzie się w kaplicy Izby Gmin. Tam nie przeszkodzą nam ciekawscy. Nie zawiadomimy nikogo, nawet twojej macochy, dopiero po ceremonii.



- Naprawdę? - zapytała Viola. To cudownie, cudownie. Będę mieć najpiękniejszy ślub. Tylko ty... i Bóg.

Ostatnie słowa wypowiedziała cichutko, trochę speszona ich podniosłym brzmieniem. Delikatnie uniósł jej twarz ku sobie.

- Czy modliłaś się dzisiejszego wieczoru, jak obiecywałaś?

- Cały czas.

- Więc twoje modlitwy były ze mną - rzekł cicho. - Czuję, że pomagasz mi i kierujesz moimi krokami. Jest w tobie coś takiego, moja słodka, że muszę cię nosić w sercu jak talizman. Pozostaniesz tam na zawsze, prowadząc mnie przez całe życie ku dobru i pięknu.

Viola krzyknęła radośnie:

- Tak bym tego chciała! Ale ty jesteś taki ważny, cudowny, a ja nic nie znaczę.

- Mylisz się. Jesteś wszystkim, co ma dla mnie znaczenie. Wszystkim, czego mężczyzna może pragnąć w domu i w swoim osobistym życiu.

Objął ją mocniej i dalej mówił:

- Miłość, którą widzę w twoich oczach, dodaje mi siły. Jesteś kobieca i cudowna. Żadne prawo wyborcze ani ustawy parlamentarne nie uczynią cię ważniejszą niż fakt, że jesteś kobietą.

- Chcę być twoją kobietą. Raptem zawstydziła się swoich słów.

- Będiesz moją żoną. Będę cię kochał, uwielbiał i przeprowadzę cię bezpiecznie przez życie.

Westchnęła, szczęśliwa.

- Violu, jesteś moja, tylko moja. Mój własny biały fiołek, szukający schronienia przed brutalnością i okrucieństwem świata. Tak cudowny i wonny dla tego, kto go odkrył.

- To znaczy dla ciebie?

- Nigdy nie pozwolę ci odejść, kochana. I nie obawiaj się niczego.

- Już nie muszę się bać, bo jestem z tobą. Och, kocham cię, Rayburnie, całą moją istotą. Nie potrafię wyrazić jak wielka jest moja miłość, ale wiem, że dosięga chyba samych niebios!

- Moja jest równie potężna. Nie wolno nam nigdy stracić wiary w miłość i w nas samych!

- Ufam ci - szepnęła.

- A ja wierzę, że dam ci szczęście.

Znów dotknął jej ust. Całował namiętnie i zaborczo. Viola wiedziała, że wzlatują razem do szczęśliwego nieba, gdzie nie ma strachu ani niepokoju, a tylko miłość, która jest częścią Boga.